



S. SIEROSŁAWSKI

OSADA
WŚRÓD PUSZCZY



I

OSADA WŚRÓD PUSZCZY.

OSADA WSRÓD PUSZCZY.

Opowieść z dziejów kolonij amerykańskich.

Wedle „Historji Astoryi“ M. Feldego i „Wspomnień“
Waszyngtona Irvinga

opracował

STANISŁAW SIEROSŁAWSKI.



WARSZAWA.

Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat“.
Wydawnictwo „Przyjaciela Dzieci“.

1913.



93359/1

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

K-81/49/99410

PRZEDMOWA.

W historyi osadnictwa amerykańskiego wiele jest rozdziałów, które czyta się, jak powieść, a które jednak nie są tworem fantazyi, lecz rzeczywistością. Bywają zaś nieraz tak barwne i interesujące, że wystarczy opowiedzieć je bez żadnych dodatków, by przykuć uwagę czytelnika.

Dzieje „osady wśród puszczy“, dzieje powstania i upadku Astoryi, które zamierzam opowiedzieć w tej książce, są właśnie jednym z takich rozdziałów. Osada zniknęła z powierzchni ziemi, lecz w historyi Ameryki pozostała zapisana jej nazwa; dzieje zaś niezwyklej wyprawy i niezwyklego przedsięwzięcia spisał w swych wspomnieniach głośny pisarz amerykański, Waszyngton Irving, na podstawie notatek i opowiadań uczestników i głównego twórcy śmiałego projektu, Jana Jakuba Astora.

Osada wśród puszczy.

Z tego bogatego materiału, opracowanego później przez innego pisarza, M. Feldego, w „Historyi Astoryi“, czerpiemy treść niniejszego opowiadania.

I.

Obóz zimowy.

Zmierzch zapadał coraz gęstszy. Coraz czarniejsze cienie rzucały drzewa olbrzymiego lasu, w którym ucichło już wszelkie życie. Ucichł zupełnie wiatr, wstrząsający jego konarami; ucichły świergoty ptaków, rozlegające się radośnie przez dzień cały; ucichły szmery, ciche i ostrożne, skradającej się zwierzyny.

Za grubym pniem dębu stał cichy, jak cała przyroda, myśliwy. Nacisnął głęboko na oczy ciepłą, filcową czapkę, oparł silnie o ramię nabitą strzelbą i lufy jej skierował ku szczytowi stojącego w pobliżu wiązu. Dość dawno już zauważył wśród gęstych konarów czarną jakąś plamę. Ktoś inny nie dojrzałby jej może wcale w wieczornym mroku, albo też

śądziłby, że jest to tylko narośl drzewna lub gniazdo ptasie. Lecz on był przyzwyczajony przenikać wzrokiem ciemności; nie mylił się nigdy. To też i teraz był pewny, że tam, na szczycie drzewa czai się zwierzę jakiś, podobnie jak on sam za pniem dębu. Ale cel był jeszcze zbyt odległy; nie można było jeszcze rozróżnić, czy zdobycz warta jest wystrzału.

Myśliwy stał nieruchomy i cichy, jak otaczająca go przyroda.

Nagle jednak czarny punkt na wierzchołku drzewa ożywił się; zabłyśły dwa zielonawe kocie ślepie. Zamigotały na chwilę i zagasły znowu, czarne ciało zsuwało się bez szmeru po konarach. Coraz wyraźniej już rysowała się w mroku postać zwierzęcia; gibki grzbiet giął się przy każdym poruszeniu, leniwem, powolnem, lecz równocześnie podstępem i zdradnym. Zwierzę opuszczało się coraz niżej ku ziemi.

Cierpliwość myśliwego wyczerpała się wreszcie widocznie. Aż dotąd stał nieruchomy, niby posąg z marmuru. Teraz wysunął się nagle z poza pnia i poruszył lewą ręką. Ledwie chwilę trwał ten ruch; nie minęła nawet sekunda, gdy ręka podtrzymała już znowu lufę strzelby, wymierzoną pewnie i niezawodnie.

Zwierzę przywitało ruch strzelca głu-

chym pomrukiem. Śmiałym skokiem upadło równocześnie o jakieś sześć metrów, czepiając się gałęzi pobliskiego drzewa. Ale był to szczebel niejako; cel ostateczny znajdował się gdzieindziej. Drapieżny kot obliczył już skok na strzelca.

Ale myśliwy obliczał także; oczekiwał tylko na ten skok. I w tej samej chwili, kiedy grzbiet kota wygiął się znowu, a olbrzymie cielsko miało już zawisnąć w powietrzu, zabrzmiał huk strzału z lufy, skierowanej wciąż bacznie na przeciwnika.

Olbrzymie cielsko skreśliło się w powietrzu i runęło ciężko na ziemię. Krótki, zachrypły ryk bólu rozdarł powietrze, potem znowu cisza zaległa na okół.

— All right — wyrzekł strzelec, wychodząc z poza pnia, za którym ukrywał się dotąd i zbliżając się ku upolowanej zdobyczy. Równocześnie nabijał wystrzeloną strzelbę. W głębi dzikiej puszczy trzeba być zawsze przygotowanym na wszystko.

— Żle nie jest — rzekł myśliwy, podchodząc ku upolowanej zwierzynie. — Naprawdę śliczny kuguar.

Podchodził śmiało, bo ufał najzupełniej celności swego strzału. Istotnie kula ugodziła zwierzę w samo serce. Przystało żyć, zanim jeszcze ostatecznie upadło na ziemię.

Myśliwy chwycił kota za kędzierzawy kark i rzucił przed siebie. Potem oparł strzelbę o najbliższy pień drzewa, wydobyl z kieszeni wielki nóż myśliwski i począł ostrożnie obdzierać wspaniałą skórę. Nie zdołał jednak ukończyć pracy.

Zerwał się znowu i pochwycił strzelbę. W pobliżu ozwał się jakiś podejrzaný szelest. Ktoś zbliżał się ku niemu; nie wiedział: człowiek czy zwierz. Słychać było tylko szelest łamiących się gałęzi, rozrzuconych po ziemi. Myśliwy wyczekiwał z bronią gotową do strzału przy ramieniu. Nie opuścił jej i wtedy, gdy rozsunęły się pobliskie zarośla i jakiś człowiek wyszedł z poza nich. I on także trzymał strzelbę w ręku, lecz, zobaczywszy białego człowieka, obniżył lufy ku ziemi.

— Sprzątnąłeś mi pan zwierzynę z przed nosa?— rzekł przybysz niezbyt wesoło. — Trudno, nie darzy mi się dzisiaj. Od paru godzin nadaremnie włóczę się ze strzelbą po lesie.

— Zdarza się to czasem — odpowiedział myśliwy, wciąż jeszcze z niedowierzaniem oglądając nieoczekiwanego towarzysza. — Czy wolno mi spytać, kto pan jesteś i skąd przybywasz?

— Nazywam się Jonatan Waterson. Od dwóch lat uganiam po lasach za zwierzyną,

a teraz, zebrawszy już sporo skór, dążę do Saint Louis, aby je tam sprzedać i zaopatrzyć się na nowo w amunicję. I naprawdę bardzo się cieszę, spotykając w tem pustkowiu białego człowieka; mimo że wyrządziłeś mi pan istotnie szkodę.

— A to jakim sposobem?

— Jeszcze przed kilkoma dniami posiadałem dość znaczne zapasy żywności; ale niestety zaopiekowali się niemi czerwonoskórzy, a ja byłem zadowolony, że uratowałem przynajmniej własną skórę. Dziś rano zjadłem ostatni kęs, a teraz tak mi burczy w brzuchu, że można usłyszeć o milę.

— Tem bardziej żałuję, że pozbawiłem pana zdobyczy. Ale może zaradzimy coś na tę niedolę. Najpierw jednak powiem panu, że jestem Jan Day. Potem dodam, że pragnąc dać panu jakieś odszkodowanie za sprzątniętą zdobycz, ofiaruję panu znacznie lepszą wieczerzę. Czy smakowałyby panu dobra, soczysta pieczeń porządnie upieczona na rożnie i pokropiona jednym lub dwu kieliszczykami smacznej wódki?

— Jakimże cudem znaleźć to w tem pustkowiu?

— Skoro przyrzekam, to widocznie się znajdzie.

— Dawno już nie słyszałem tak miłych słów.

— Ruszamy zaraz w drogę, skoro tylko obedrę do reszty tę piękną skórę—rzekł Jan Day, podejmując przerwana poprzednio pracę. — Połędwicę i łapy zabierzemy z sobą, przydadzą się kiedyś na piecyste—dodał wycinając wymienione kawały mięsa i zarzucając ten krwawy ciężar razem ze skórą na ramię.

— Czy obozujesz pan daleko stąd?

— Spory kawałek drogi. Ale pan masz przecież łódź, na której wiesziesz skóry.

— Ukryłem ją wśród zarośli w najbliższej zatoce rzeki.

— Doskonale. W takim razie z jej pomocą dostaniemy się szybko do obozu. Chodźmy więc!

Jonatan Waterson wskazał drogę, potem odwiązał łódź, napełnioną skórą. Siadł przy sterze, ofiarując swemu przygodnemu towarzyszowi wygodniejsze miejsce na przodzie. Jan Day uchwycił wiosła muskularnymi ramięmi, a łódź chyżo pomknęła naprzód. Płynęli tak z biegiem wody mniej więcej przez dziesięć minut; potem Jan Day krzyknął na towarzysza, aby przybił do brzegu. Znajdowała się w tem miejscu mała, cicha zatoka. Z niezmiernem zdumieniem ujrzał

w niej Waterson cztery duże łodzie żaglowe, kołyszące się lekko na kotwicy.

— Na Boga—zawołał. — Ależ to wprost ogromna flotylla, wyruszająca chyba na wojenną wyprawę, bo, jeżeli się nie mylę, dostrzegam nawet wyloty małych armatek.

— Nie mylisz się pan, istotnie — odparł Jan Day. — Ale zapewne zdziwisz się jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, jaki jest cel naszej wyprawy. Teraz przygotuj pan linę, by łódź przywiązać, jesteśmy bowiem u celu.

Myśliwy podprowadził zrećznie łódź ku brzegowi rzeki, jakiś człowiek, stojący widocznie na straży, chwycił za burt, podciągnął łódkę na piasek i wzięwszy podaną mu linę, przywiązał ją do pobliskiego drzewa. Wtedy obaj wzięli strzelby i wysiedli.

— Chodźmy—odezwał się Jan Day—zapoznam pana z przywódcami naszej wyprawy i z kilkunastoma jeszcze ludźmi, naprawdę godnymi szacunku. Przychodzimy zaś, jak się zdaje, w samą porę, bo właśnie siadają do wieszery.

Podczas gdy szli naprzód, Waterson z zdziwieniem oglądał trzy duże chaty, stojące na skraju lasu. Towarzysz poprowadził go do środkowej, zasypanej śniegiem; weszli do wnętrza, do przestronnej, jasno oświetlonej izby. Przy stole siedziało kilkunastu męż-

czyn, rozmawiając z ożywieniem. Wszyscy spojrzeli ciekawie na nieznanego gościa.

— Przeprowadzam rodaka—odezwał się Jan Day—którego spotkałem dzisiaj na polowaniu. Spodziewam się, że przyjmiecie go serdecznie, tem więcej, że powinienem mu się odplacić za szkodę, jaką mu wyrządziłem. Był głodniały, a mój wystrzał, zresztą celny i szczęśliwy, spłoszył naokół zwierzynę.

— Tak czy owak, miłym jest nam gościem—rzekł jeden z siedzących, powstając na powitanie gościa. — Siadaj pan i podziel się z nami darami Bożemi, które, na szczęście, posiadamy jeszcze w obfitości. Jestem Wilson Price Hunt, gospodarz pański i sługa zarazem. Bo chociaż w tej chwili dowodzę tą wyprawą, chociaż w tej chwili na brak żaden skarżyć się nie mogę, to jednak nie zawsze los mi tak sprzyjał w życiu, nie zawsze miałem tak w bród wszystkiego. Jestem w tej chwili na wozie, jak to powiada przysłowie, ale bywało się także nieraz i pod wozem.

— Różne są zrzádenia Boże — odpowiedział Jonatan Waterson. — I ja jeszcze rano nie byłbym przypuścił, że znajdę się dzisiaj w tak zacnem gronie, że zjem tak dobrze i tak miło wieczerzę.

To mówiąc, postawił strzelbę w kącie po-

koju, zapoznał się z inenmi osobami, obecni mi w chacie i zasiadł przy stole.

Niezwykłe było to grono, albowiem składało się wyłącznie z dzielnych, śmiałych ludzi, z których każdy mógł się pochłubić tyśiącem przygód. Siedział tu przede wszystkim Donald Mac Kenzie, świetny strzelec, którego nazwisko Waterson słyszał już niejednokrotnie. Był on drugim dowódcą wyprawy.

Jan Day cieszył się w całej Ameryce północnej nie mniejszą sławą. Od najmłodszej młodości przebiegał ze strzelbą w ręku dziewicze lasy, polując to na własny rachunek, to na rachunek rozmaitych towarzystw, handlujących skórami dzikich zwierząt. Opowiadano sobie, że ten olbrzym nie wie wcale, co to jest uczucie strachu, albowiem nigdy jeszcze go nie doznawał.

Obok niego siedział Ramsay Crooks, mężczyzna równej niemal postawy, Szkot z pochodzenia, przedsiębiorczy, energiczny, będący postrachem wszystkich szczepów indyjskich na okół.

Sąsiadem jego przy stole był Józef Miller, niegdyś oficer armii Stanów Zjednoczonych, który opuścił szeregi, aby uniknąć kary za to, że, zajęty polowaniem, nie powrócił na czas do pułku z otrzymanego urlopu. Słynął on jako polawiacz bobrów; nikt prawie

nie umiał, tak jak on, prowadzić targów i układów z czerwonoskórą, tubylczą ludnością.

Obok siedzieli jeszcze inni, bardziej lub mniej sławni, ale wszyscy ludzie czynu, pełni energii i przedsiębiorczości.

Jonatson Waterson z przyjemnością rozglądał się na okół. W tak zacnem i miłym gronie nie przebywał już od lat wielu.

— Jestem doprawdy zachwycony zrządzeniem losu, dzięki któremu znalazłem się wśród was, moi panowie; spotkać jednego dzielnego i zacnego człowieka, po dwóch latach takiej wędrówki, jest już niezwykłym szczęściem; a cóż powiedzieć, jeżeli nagle spotyka się ich tylu. To, doprawdy, niezwykle szczęśliwy przypadek, który mieć musi głębokie przyczyny. Zwłaszcza jeżeli jeszcze wezmę w rachubę tę flotyllę, oczekującą w zatoce. Cel takiej wyprawy musi być bardzo wielki i poważny; inaczej nie możnaby jej sobie wytłómaczyć. Więc jeżeli łaska, zechciejcie mnie panowie objaśnić.

— Z miłą chęcią—odpowiedział Hunt.—Nie mamy tajemnic, i nie mamy ich zwłaszcza przed panem. Nie mylisz się pan, istotnie, przypuszczając, że zamierzamy wielkie rzeczy. Cel naszej wyprawy jest naprawdę i niezwykły i wielki.

— Jakiż, jeżeli wolno mi zapytać?

— Czy znasz pan może Jana Jakuba Astora, sławnego handlarza i przedsiębiorcę, który zgromadził w swem ręku cały handel skórami zwierząt w północnej Ameryce, zarabiając dzięki temu miliony dolarów i niwecząc wszystkie usiłowania współzawodników?

— Słyszałem już to nazwisko, ale przyznać muszę, że niewiele wiem o nim samym.

— A zatem pozwól pan, że opowiem ci pokrótce całą historję jego życia, które poniekąd wiąże się ściśle z tą wyprawą. Bywają ludzie, których życie od najwcześniejszej już młodości świadczy o tem, że są powołani, by dokonać wielkich rzeczy. Oczywiście zdarza się niekiedy, że nadzieje te zawodzą; zazwyczaj jednak się sprawdzają. Ludzie tacy mają zawsze przed oczyma ściśle określony cel i z żelazną konsekwencyą dążą do niego. Takim właśnie człowiekiem jest Jan Jakób Astor. Urodził się w Niemczech, w Wielkiem Księstwie badeńskiem, w małej wioseczce Waldorf, w pobliżu sławnego Heidelbergu. Był synem ubogiego rzemieślnika. Matka, nader zacna kobieta, osierociła go wczesnie. Ojciec nie bardzo umiał związać koniec z końcem, to też nędza z dnia na dzień coraz więcej dokuczała całej rodzinie. Chłopiec

przemysliwał nieraz, coby uczynić, by dopomódz swoim i sobie, ale było to trudno, bardzo trudno. Umiał zaledwie czytać i pisać; więcej nie uczył się nic, albowiem nie posiadał żadnych zgoła środków na naukę. Lecz nadziei nie tracił. Pewnego dnia postanowił pójść za przykładem starszego brata i opuścić ojczyznę, aby poza jej granicami zdobyć wiedzę i majątek. Wierzył w swą dobrą gwiazdę, wierzył, że los musi mu sprzyjać, jeżeli tylko mieć będzie dość sił i energii do walki z życiem. Zatem w dwudziestym roku życia pojechał do brata do Anglii, a stamtąd w kilka miesięcy później ruszył do Ameryki, do Nowego Jorku. Miał w kieszeni zaledwie dwadzieścia funtów szterlingów majątku; przejazd do Ameryki kosztował połowę tej sumy.

— I dojechał szczęśliwie? — spytał Watterson, słuchający opowiadania z coraz większą uwagą i zainteresowaniem.

— Wiele trudności musiał jeszcze zwalczyć—mówił dalej Hunt.—W Hampton Roads okręt zatrzymał się, napotkawszy na drodze olbrzymie góry lodowe; trzeba było czekać na odwilż. Podczas tego przymusowego postoju Astor zapoznał się z amerykańskim handlarzem futer, który właśnie powracał z Londynu, uzyskawszy tam znaczne zyski. Rozmawiali z sobą wiele, a rozmowy

te wywarły stanowczy wpływ na dalsze losy młodzieńca. Obliczył na ich podstawie, że handel futrami może dać bardzo duże dochody i postanowił się mu poświęcić. Zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku wstąpił do terminu do kuśnierza i niebawem nauczył się już tyle, że majster ofiarował mu wcale wysoką płacę. Młody Astor nie zadowolnił się tem; czuł, że los powołuje go do większych rzeczy. Oszczędzał, ile mógł tylko, a za wszystkie oszczędności nabywał skórki na własny rachunek i sprzedawał je z zyskiem. Po upływie trzech lat posiadał już własne niewielkie przedsiębiorstwo. Wówczas tańsze były futra, aniżeli dzisiaj. A Astor kupował je z pierwszej ręki. Jeździł od farmy do farmy, odwiedzał często wioski indyjskie, zwłaszcza te, których mieszkańcy łowili dużo bobrów. Targował się z farmerami, nie oszukał nigdy żadnego indyanina. Dzięki temu, witało go wszędzie przyjaźnie, chętniej handlowano z nim, niż z innymi kupcami, bo uczciwość jego stała się niemal przysłowiowa. Niedługo później mógł już Astor wyruszyć z bogatym ładunkiem futer do Londynu; miał zaledwie trzydzieści siedm lat życia, a posiadał już z górą ćwierć miliona dolarów majątku. Z pomocą tych zasobów pieniężnych rozszerzał ustawicznie zakres swego działania;

coraz większe stawały się jego obroty, coraz wzrastał majątek. Ale Jan Jakub Astor ukończył swą nową amerykańską ojczyznę, pragnął przyczynić się, wedle sił swoich, do jej potęgi. Między Stanami Zjednoczonymi i Anglią panowały niezbyt przyjazne stosunki, Anglia zdobywała ciągle wielkie handlowe korzyści na szkodę Stanów Zjednoczonych, handel futrami był tu niezmiernie ważną rubryką. Anglicy utworzyli Stowarzyszenie handlowe Zatoki Hudsonskiej, potem Stowarzyszenie Północno-Zachodnie, wreszcie zaś tak nazwaną Kompanię Mackinac; wszystkie te przedsiębiorstwa wydierały amerykańcom słusznie należne im zyski, pozbawiały państwo dochodu z handlu futrami. Nie wiem, czy rozumiesz pan dobrze, co mówię?

— Mniej więcej pojmuję, o co chodzi. Amerykanie tracili na tem, że Anglicy zakupywali bardzo tanio skóry zwierzyny; zabitej w krajach Stanów Zjednoczonych, a cały zysk sprzedaży chowali do własnych kieszeni, podczas gdy powinien on być pozostać w ręku obywateli naszego państwa. Innemi słowy, kraj nasz był stale uboższy o tę sumę. Czyż nie tak?

— Tak jest. W ogólnych zarysach pojąłeś pan, o co chodziło.

— Ale jakże Astor na to zaradził?

— Astor doszedł do przekonania, że byłoby lepiej, gdyby te pieniądze pozostawały w ręku amerykańskich obywateli; dzięki temu bowiem byłaby Ameryka bogatszą o tę sumę. I rozpoczął z Anglikami wojnę handlową o futra. Utworzył przedewszystkiem nową Kompanię handlową, którą nazwał Południowo-zachodnią, postarał się skupić cały handel w ręku tej kompanii i wysyłać odtąd wprost do Europy futra, dostające się tam poprzednio za pośrednictwem Anglików. W ciągu niewielu lat przeprowadził ten projekt, skutkiem czego dochody z handlu pozostają teraz w kraju.

— A cóż wspólnego ma z tem obecna wyprawa?

— Kupcy angielscy ciągle jeszcze sprzątają Astorowi i jego kompanii towar z przed nosa. Agenci angielscy krążą po licznych wioskach indyjskich, zakupując skóry upolowanej zwierzyny, myśliwcy, podobni panu, polują na angielski rachunek. Otóż zadaniem naszym jest dotrzeć aż na wybrzeże Wielkiego Oceanu i tam u ujścia rzeki Kolumbii założyć stację myśliwską i handlową, by gromadzić w niej wszystkie łupy myśliwskie z okolicznych krain. Kolumbia jest zatem celem naszej podróży.



— Dalibóg — zawołał Waterson — to naprawdę wspaniały pomysł. Byleby tylko udało się go urzeczywistnić. Bo trudności czyhają na każdym niemal kroku, a droga do celu bardzo jeszcze daleka.

— Przejdziemy ją z Bożą pomocą—odpowiedział Hunt. — A jeżeli dotrzemy do celu i urzeczywistnimy nasze zamysły, ojczyzna będzie nam chyba wdzięczna za to, bo przecież zdobędziemy dla niej i handlowo i kulturalnie nowe, ogromne obszary. My idziemy tam pierwsi, ale jeżeli się nam poszczęści, pójdą za nami inni, pójdą rolnicy, rzemieślnicy i kupcy. I dzięki temu powstanie na pustkowiu nowa wielka osada amerykańska.

Hunt przemawiał z ogromnym zapętem. Łatwo było poznać, że wierzy w powodzenie przedsięwzięcia i że gotów poświęcić mu wszystkie siły i energię. Chciał mówić dalej jeszcze, lecz wtem otwarły się drzwi, a na progu pojawiło się kilku mężczyzn, niosących wielkie kotły, z których buchała para i nęący zapach pokarmów.

— Oto i nasi kucharze — rzekł Hunt, zwracając się do Jonatana Watersona. — Poczciwi Kanadyjczycy, równie dzielni w robieniu wiosem, jak w umiejętności kucharskiej.

No, mam nadzieję, że popisali się dzisiaj, aby przypodobać się wygłodzonemu gościowi. Siadajmy więc i spożywajmy dary Boże.

W tej samej chwili pojawili się jeszcze trzej mieszkańcy zimowego obozu. Jonatan Waterson przyglądał się im z zaciekawieniem. Zaciekawienie to wzrosło jeszcze, skoro dowiedział się, kogo widzi przed sobą. Nazwiska wszystkich trzech nie były mu obce. Pierwszy z nowoprzybyłych, nazwiskiem Mac Lellan, wstąpił się szeregiem niezwykłych przygód. Postać jego świadczyła o niepospolitej sile, odwadze i zręczności. Za młodu walczył w szeregach amerykańskiej armii, potem na własną już rękę wiodł zacięte walki z indyanami. Spotkawszy się przypadkowo z wyprawą Hunta, przyłączył się do niej chętnie, spodziewając się, że przy sposobności załatwi dawne porachunki z plemieniem Siuksów, przez których krainy wyprawa miała przechodzić.

Drugi z przybyłych, Jan Colter, był również głośnym bohaterem puszczy. Przedsiębrał już szereg bardzo niebezpiecznych podróży wzdłuż górnego biegu rzeki Missouri; teraz zaś powracał do domu i rodziny, a ponieważ wyprawa Hunta podążała tą samą drogą, przyłączył się do niej, zamiast samotnie wędrować poprzez lasy.

Trzeci z nowoprzybyłych nazywał się Piotr Dorion. Był on synem Francuza i indyanki, a posiadając wyjątkowe zdolności językowe, przyswoił sobie podczas dawniejszych podróży mowę licznych szczepów indyjskich. Hunt przyjął go z otwartymi ramionami i przyrzekł mu bardzo duże wynagrodzenie, jeżeli zechce towarzyszyć wyprawie jako tłumacz, na co Dorion najchętniej się zgodził.

Wszyscy obecni zasiedli do stołu; na chwilę zamilkły całkiem rozmowy, słychać było tylko szcęk noży i zębów, miażdżących łapczywie kawały smacznego mięsiwa. Dopiero po zaspokojeniu pierwszego głodu, zaczęto znowu rozmawiać. Jonatan Waterson wychwalał z zachwytem potrawy, których tak dawno już był pozbawiony; wychwalał kucharzy, którzy je przyrządzili.

Przy sposobności dowiedział się, że wyprawa składała się ogółem z pięćdziesięciu siedmiu ludzi, mianowicie z siedmnastu strzelców i czterdziestu kanadyjczyków. Tych ostatnich zgromadzono z wielkim trudem, ponieważ Anglicy przeszkadzali na każdym kroku.

— A jeżeli Anglicy wyprzedzą panów?— zapytał Waterson w ciągu rozmowy. — Czyż nie jest to możliwe?

— Nawet bardzo możliwe—odpowiedział Hunt—tembardziej, że pan Astor nie ukrywał wcale swych planów i zamiarów. Ale jeżeliby i wyruszyli, nie będą pierwsi.

— Jakto?— spytał Waterson ze szczerem zdziwieniem.

— Pan Astor obmyślił wszystko. I podczas kiedy my przedzieramy się tutaj lądem przez bory i rzeki, równocześnie wyruszył drugi oddział morską drogą do Kolumbii. Miał on łatwiejsze zadanie do spełnienia i kto wie czy w tej chwili nie powiewa już sztandar amerykański na szczycie blokhausu, wzniesionego przez tamten oddział wyprawy u ujścia Kolumbii.

— To doprawdy świetny pomysł—zawołał Jonatan Waterson. — Rzadko znaleźć tak mądrego i przewidującego człowieka.

Wilson Hunt uznał, że teraz nadeszła najważniejsza chwila, by dokończyć poprzednią rozmowę, przerywaną podaniem wierzchy.

— Z całej naszej rozmowy — odezwał się — mogłeś się pan przekonać, że przedsięwzięcie nasze opiera się na mocnych podstawach i że najprawdopodobniej się powiedzie. Dodam jeszcze, że wszyscy uczestnicy nie pożałują swego współudziału, że wszyscy od-

niosą duże zyski. I wobec tego zapytuję pana szczerze i otwarcie: Czy zgodzisz się pan odsprzedać mi swe futra za dobrą cenę i zamiast jechać do Saint-Louis, towarzyszyć nam w naszej wyprawie? Będziesz pan miłym dla nas towarzyszem, bo ludzie tak dzielni, jak pan, są zawsze i wszędzie pożądanymi. Odbędziemy razem tę wyprawę, a z pewnością nie pożałujesz pan, że wzięłeś w niej udział.

Jonatan Waterson zamyślił się przez chwilę. Ale ludzie czynu postanawiają szybko. Jeszcze—raz spojrzął dokoła stołu, jeszcze raz uradował się widokiem tak doborowego grona i odpowiedział donośnym, pewnym głosem:

— Zgoda. Niech i tak będzie. Należę do was duszą i ciałem. Co prawda, zamierzałem udać się do Saint-Louis i odpocząć tam nieco po dwuletnich trudach. Ale nie powie nikt, że Jonatan Waterson ma już kości stare i do niczego. Nie zawiodą mnie jeszcze nogi, nie zawiedzie oko. I jeżeli tylko przyrzekniecie mi dostateczne zyski, pójdę chętnie z wami.

— Postaramy się o to, byś pan nie skarżył się na niewdzięczność. Przyrzekam to i w imieniu pana Astora i własnem — odpo-

wiedział Wilson Hunt, wyciągając prawicę do nowego towarzysza podróży.

A za przykładem tym poszli i inni siedzący przy stole, uradowani, że gromadka ich powiększa się o jednego jeszcze, tak dzielnego strzelca i doświadczonego podróżnika.

II.

Przy ognisku.

W nocy wiatr zmienił się na południowy, a nad ranem dął bardzo silnie.

Już poprzednich dni coraz rozgłośniejsze świergoty ptasie zwiastowały zbliżanie się wiosny; teraz wraz z wiatrem nadpłynęły chmury, począł padać ciepły deszcz, topiący szybko śnieżną powłokę, spowijającą ziemię.

— Jeżeli ulewa potrwa przez cały dzień—odezwał się Mac Kenzie do Jonatana Water-sona, który wyszedł przed chatę, aby się umyć topniejącym śniegiem — to lód i śnieg znikną zupełnie do wieczora. A wtedy trzeba się już będzie zbierać do drogi.

— Nie tak prędko jeszcze—odpowiedział Water-son.—W górze rzeki leżą śniegi obficie, powódź nieunikniona.

Przepowiednia sprawdziła się rychło. Strzelcy, którzy, pomimo ulewy, wybrali się na polowanie, powrócili wieczorem z wiadomością, że rzeczka Nodowa, wpływająca w odległości mniej więcej mili od obozu do Missouri, toczy olbrzymie, żółtawe fale.

Wskutek tej wieści zaraz z brzaskiem dnia zabrano się energicznie do pracy. Część uczestników wyprawy zajęła się zabezpieczeniem statków przed coraz bardziej rwącym prądem rzeki; inni opatrywali ściany składów, w których leżały bogate zapasy towarów, broni i żywności. Po upływie niewielu godzin można już było ze spokojem spoglądać w przyszłość. Statki były silnie umocowane w bezpiecznej zatoce; ściany składów wzmocnione i nanowo oblepione gliną; najkosztowniejsze towary i beczulki z prochem dobrze ukryte przed wpływem wilgoci. Przedsięwzięte środki okazały się bardzo pożyteczne.

Nietylko z niebios lała się woda strumieniami; szerokie koryto rzeki spiętrzyło się, brudno żółte fale przewalały się z taką siłą, jakgdyby chciały porwać i zdruzgotać wszystko, co im stanie w drodze. Wreszcie wystąpiły z brzegów, podsunęły się niemal ku progom chat zimowego obozu. Ale wznosił się on dosyć wysoko, by niebezpieczeństwo naprawdę mogło mu zagrozić.

Tak minęło cztery lub pięć dni, w ciągu których mieszkańcy obozu wychodzili z chat tylko wtedy, gdy zmusiła ich do tego nieodzowna przyczyna.

Potem burza, szalejąca w przyrodzie, poczęła ucichać; po upływie jeszcze paru dni wody rzeki powróciły w zwykłe koryto; słońce pojawiło się na sklepieniu niebios i przygrzewało coraz mocniej. Wszystko dowodziło, że tak długo i niecierpliwie oczekiwana wiosna rozpoczęła się wreszcie na dobre.

— Pogoda sprzyja nam coraz bardziej, a więc nie traćmy drogiego czasu i jak najprędzej ruszajmy w drogę — oświadczył William Hunt, zwoławszy towarzyszy na wielką naradę w dniu 24-go kwietnia 1811 roku.

Wszyscy bez wyjątku zgodzili się z jego zdaniem. W obozie zawrzała gorączkowa praca: przenoszono zapasy ze składów na pokład statków i rozmieszczano je tam jak najwygodniej, opatrywano żagle, łątano deskami dziury, wyszukiwano wiosła. Zapal był tak wielki, że do wieczora wszystko było już gotowe.

Nazajutrz o świcie wędrowcy opuścili zimowe leże, dające im zaciszne i ciepłe schronienie przez kilka miesięcy. Z pewnym żalem oglądali się za niem, spędzili tam bowiem wiele chwil przyjemnych: z pewnym niepoko-

jem spoglądali w przyszłość, pełną trudów i niebezpieczeństw, tajemniczą i groźną, jak olbrzymie, otaczające ich bory, przez które odbywać mieli wielką wędrówkę. Ale nie długo trwały żale, prędko zniknęły niepokoje. Śmiała się do nich przyroda, jaśniało słońce na niebie, rozkoszowała oko świeżutka zieleń wiosennych traw i liści. Wywiczeni w rozlicznych niebezpieczeństwach, zahartowani na wszelkie trudy, wyruszali naprzód z otuchą, że osiągną cel zamierzony. Chwilowy niepokój zbudziła raczej myśl, ilu i którzy z nich dotrą do tego celu, a nie wątpliwość, czy wogóle dotrą.

Kanadyjczycy, słynący jako żeglarze, usprawiedliwili pokładane w nich zaufanie; zręcznie i silnie poruszali wiosłami, dzięki czemu wielkie, obciążone łodzie posuwały się naprzód ze znaczną szybkością. Gdzie wiosła nie wystarczały w walce z siłą prądu, chwytano bosaki, zakończone żelaznami, zakrzywionymi hakami, lub przy pomocy lin ciągnięto statki wśród brzegu. Rozwinięte umiejętnie żagle oddawały także wielkie usługi.

Kiedy wreszcie zapadający zmierzch zmusił wyprawę do noclegu, dzieliła ją już od obozu zimowego bardzo duża odległość.

Rozpięto na wybrzeżu kilka namiotów, rozpalono kilka ognisk, a Kanadyjczycy, po-

rzuciwszy wiosła, zajęli się zgotowaniem wieczery. Myśliwi rozłożyli się dokoła ognia i gawędzili wesoło. Podróż poprzez odwieczne bory przypomniła im różne dawniejsze przygody, ten i ów opowiadał ciekawe szczegóły z wypraw myśliwskich, lub z walk z nieprzyjawnymi szczepami indyjskimi.

Jeden tylko Jonatan Waterson siedział w milczeniu, słuchając pilnie opowiadań, lecz nie biorąc udziału w rozmowie. Jak zawsze miał czapkę naciśniętą głęboko na czoło; pod nią można było jeszcze zobaczyć kawał jedwabnej materyi, okrywającej głowę.

— A pan nie opowiesz nam nic ze swego dawnego życia?—zagadnął go wreszcie Mac Kenzie.—Jestem pewny, że usłyszelibyśmy coś niezwykle ciekawego, gdybyś pan tylko zechciał mówić.

— Przypuszczam, że może opowiadanie moje nie znudziłoby was, drodzy towarzysze—odparł Waterson.—Dla mnie jednak nie byłoby wesołe, bo obudziłoby bardzo bolesne wspomnienia.

— Domyślałem się tego już od dawna—rzekł Mac Kenzie.

— Domyślałeś się pan?—odezwał się do brodusznie Waterson.—Jakimże sposobem mogłeś się domyślać, jakie losy przechodziłem

niegdyś. Czyżby opowiadano ci może o mojej przygodzie?

— Nie; ale od kilku dni przyglądałem się panu uważnie, zwłaszcza kiedy myłeś się rano; a jeszcze uważniej podczas dnia dzisiejszego, kiedy czoła nasze niejednokrotnie pokrywały się potem, wskutek wyteżonej pracy. Dzięki temu nie potrzebowałem nawet wyteżać bardzo mojej domyślności.

— I cóż pan zauważyłeś? — spytał Waterson. — Mów pan śmiało; z pewnością nie pogniewam się o to, co powiesz.

— Otóż przyglądałem się parokrotnie panu, kiedy się myłeś i zauważyłem, że nie zdejmujesz nigdy czapki z głowy. Dzisiaj znowu każdy z nas nieraz ocierał spocone czoło, nieraz wiosłował długi czas z odkrytą głową. Tymczasem pan, ani raz nie uchyliłeś czapki. Oczywiście nie bez przyczyny. Nie bez przyczyny także nosisz pan pod czapką ten wystający z pod niej kawałek czarnego jedwabiu. Opierając się na tych podstawach, musiałem przypuścić, że brakuje ci czegoś, co my wszyscy posiadamy, innemi słowy, że naturalne przykrycie twojej głowy zawisło jako skalp u pasa jakiegoś indyanina. Czy się myłę?

— Nie; nie mylisz się pan; tak jest istotnie. Ale przyznasz pan chyba, że wrodzona

każdemu człowiekowi próżność skłania go do zatajenia braków tego rodzaju, a wspomnienie chwili, w której się utraciło skórę z głowy razem z włosami, nie jest nader miłe.

— Powiedziałbym, przeciwnie, że łysina taka jest nawet bardzo zaszczytna; świadczy ona o dzielności człowieka, który potrafił ocałić życie, mimo że wrogowie zdarli mu skalp z głowy.

— A wspomnienie, że uratowało się życie, łagodzi wspomnienia przebytych cierpień—zawołał ktoś inny z myśliwych, leżących dokoła ogniska. — Więc nie chowaj pan pod korcem swego opowiadania, tak jak bolesną łysinę chowasz pod czapką, lecz opowiedz nam swą przygodę. Kto wie, czy któryś z nas nie wyciągnie z niej jakiejś nauki, mogącej mu przynieść pożytek w przyszłości.

Jonatan Waterson próbował wymawiać się jeszcze. Ale wszyscy nalegali na niego, wszyscy prosili o opowiadanie. Uległ więc wreszcie namowom, zapalił krótką fajeczkę i pykając dymem, zaczął mówić:

— Dawne to już czasy. Młody, odważny, lecz niezbyt doświadczony, polowałem w lasach nad górnym biegiem Missouri. W zupełnym pustkowiu zbudowałem sobie drewnianą chatkę, nie przypuszczając, by indyane

wyrządzili mi coś złego, tem bardziej, że z okolicznymi szczepami czerwonoskórców łączyły mnie stosunki ścisłej przyjaźni. Przez czas pewien powodziło mi się doskonale; strzelba nie próżnowała nigdy, w zastawionych sidłach znajdowała się zawsze jakaś zwierzyna. Po kilku miesiącach jednak zauważyłem, że nie sam jeden wyjmuję zdobycz z moich sidła; ktoś okradał mnie poprostu. Któż to taki?—zapytywałem sam siebie. Nigdzie na okół nie było drugiego myśliwca; złodziejem więc musiał być czerwonoskóry. Kiedy kradzieże stawały się coraz częstsze, zgniwałem się nie na żarty, i postanowiłem wysledzić sprawcę. Nie było to łatwym zadaniem, bo złodziej bardzo starannie i zręcznie zacierał wszelkie ślady. Ale Jonatan Waterson posiada bystry wzrok, nie mu nie ujdzie. To też wreszcie przychwyciłem łajdaka na gorącym uczynku. Nie trzeba mówić, że było to niezbyt miłe dla niego.

— Oczywiście dałeś mu pan dobrą nauczkę.

— Tak jest. Nie liczyłem, co prawda, na jego wdzięczność, ale nie przypuszczałem też, że zapala ku mnie taką nienawiścią. Podburzył cały szczep; prysnęły dawne związki przyjaźni. Próbowałem najpierw wejść w układy; gdy to zawiodło, zagroziłem, że zastrzelę

każdego, kto się do mnie zbliży. To oczywiście zaogniło jeszcze spory. Pragnąłem jednak zyskać trochę czasu, by z upolowaną zdobyczą przenieść się w inne okolice. To niedoświadczenie moje stało się przyczyną zguby. Przerachowałem się, albowiem czerwoni wojownicy zaraz następnej nocy oblegli moją chatę i zamknęli mi drogę ucieczki. Ale bronilem się, co sił. Miałem sporo amunicji, żaden strzał nie chybiał celu. Wtedy nędznicy zapalili mi dach nad głową. Przez chwilę zawałem się, co uczynić, ta chwila niepewności wystarczyła, by cała piekielna gromada opadła mnie ze wszech stron. Pochwycono mnie, powalono na ziemię; potężny cios maczugą pozbawił mnie przytomności. Nie wiem już, co się dalej działo. Przypuszczali prawdopodobnie, że jestem zabity, oskalpowali mnie i zostawili na gruzach chaty. Dopiero w parę godzin później odzyskałem przytomność. Czułem straszny, piekący ból na całej głowie, krew spływała obficie, osłabłem zupełnie. Ale Jonatan Waterson ma twarde życie. Zawlokłem się w gąszcz leśny, obłożyłem głowę ziołami i mokremi liśćmi, zlałem obficie wodą. Kilkanaście godzin spałem bez przerwy, obudziłem się nieco silniejszy, a nadzieja wstąpiła w me serce. Nie będę was nudził opowiadaniem, jak przez długie tygo-

dnie włóczyłem się po lasach, cierpiąc straszne męczarnie, jak olbrzymia rana na głowie poczęła się powoli goić, aż wreszcie zablizniła się zupełnie. Wróciłem między ludzi, pozbawiony skalpu, a ponieważ chciałem uniknąć ciekawych spojrzeń, nie zdejmowałem odtąd nigdy nakrycia głowy. Lecz czapka urażała mnie w zabliznioną ranę; aby zapobiedz temu, przykrywam ją kawałkiem jedwabiu, podszytym futrem z pod spodu. Oto moja smutna przygoda, a zarazem wytłómaczenie tego, co zauważył pan Mac Kenzie.

Wszyscy obecni wyrazili Jonatanowi Watersonowi serdeczne współczucie. Ludzie puszczy mają hart serca, ale odczuwają głęboko, wiedząc, że nieszczęście, które dzisiaj spotkało ich bliźniego, może nazajutrz zagrozić im samym. Nie łatwo im coś imponuje, ale uznają, bez zawiści, każdy dzielny czyn.

— Niewielu ludzi wychodzi cało z takiego niebezpieczeństwa—zauważył Mac Kenzie.

— Bywają i gorsze jeszcze—odezwał się Jonatan Waterson.—Jest tu w naszym gronie człowiek, który tylko Bogu i swej odwadze zawdzięcza, że żyje, lub że nie świeci taką samą, jak ja, łysiną.

— Kto? — zapytywano naokół. — Któż to z nas?

— Nie ukrywaj się pan tak skromnie,

panie Janie Colter; wiesz pan przecież, że o panu mówiłem — odpowiedział na pytanie myśliwców Jonatan Waterson.

— Jan Colter? — Jakże to było? Niech opowiada! — wołano na okół.

— To prawda — odezwał się wołany. — I ja pewnego dnia wpadłem w pułapkę i tylko dziwnem zrządzeniem Bożem uratowałem skalp i życie. Inaczej musiałbym także nie zdejmować nigdy czapki, albo nie miałbym jej z czego zdejmować.

— Niech opowie! Niech opowie! — domagano się ze wszęch stron.

I chociaż Jan Colter, podobnie jak poprzednio Waterson, tłómaczył, że przygoda ta nie budzi bynajmniej w jego umyśle miłych wspomnień, nie dano mu spokoju, póki nie przyrzekł wypełnić powszechnego życzenia.

— A więc słuchajcie, panowie. Nie wątpię, że wiecie wszyscy o owej sławnej podróży kapitana Mariwether Levisa i poręcznika Williama Clarke'a przez Góry Skaliste. Obaj ci żołnierze otrzymali polecenie rządu związkowego zbadania tych puszczy, przedtem nikomu nieznanych.

Kilku obecnych przytwierdziło ruchem głowy.

— Otóż ja towarzyszyłem im zrazu w tej wyprawie, lecz później zrażony tem i owem,

rozstałem się z nimi, aby na własną rękę polować na bobry. Poszukując najodpowiedniejszego terenu, spotkałem drugiego myśliwego; polującego w tych samych okolicach, nazwiskiem Pott, dobrego, serdecznego człowieka, który przyłączył się do mnie i z którym od-tąd żyliśmy w największej przyjaźni.

Jan Colter przerwał na chwilę i pogrążył się w zadumie. Obecni milczeli również, szanując smutek wspomnień opowiadającego.

— Łowiliśmy bobry w sidła — opowiadał dalej Jan Colter. — Okolica roiła się czerwono-skórymi; wiedzieliśmy obaj, że chwila, kiedy wpadniemy w ich ręce, będzie naszą ostatnią godziną. Ale byliśmy obaj młodzi i to ciągłe narażanie się na niebezpieczeństwo, ta ciągła niepewność podniecała nas i pociągała. Dziś się nie odważyłbym się popełnić takiego szaleństwa, chociaż jestem przecież bardziej doświadczony. Wówczas byłem młody. Wystarczy wspomnieć, że przez caluteńki dzień ukrywaliśmy się w niedostępnej gęstwinie lasu, a na łowy wychodziliśmy dopiero z nadejściem nocy, kiedy czerwone skóry udały się już na spoczynek. Prócz tego przestrzegaliśmy wszystkich środków ostrożności; zwyczajem indyan zacieraliśmy ślady za sobą, przed świtem powracaliśmy do naszego legowiska. A jednak pewnego dnia...

— Tak; stara historia. Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie — wtrącił ktoś z obecnych.

— Pewnego dnia szczęście przestało nam sprzyjać. Przeleżeliśmy aż do zmierzchu nad brzegiem jednego z dopływów Missouri, późnym wieczorem zastawiliśmy sieci, raniutko, zanim jeszcze słońce wstało, pośpieszyliśmy zobaczyć naszą zdobycz. Małeńka łódka mknęła chyżo z biegiem rzeki. Nagle wydało mi się, że słyszę na brzegu ludzkie kroki. Wstrzymałem łódkę i zacząłem nasłuchiwać. Zdawałem też sobie doskonale sprawę z tego, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Gdyby wrogowie zbliżali się ku nam w niewielkiej liczbie, skradaliby się jak węże, nie słyszelibyśmy żadnego szmeru. Hałas dowodził, że zbliża się cała gromada. Doradziłem Pottowi, aby schronić się w lasy i przez cały dzień nie dawać znaku życia. Pott wyśmiał mnie, twierdząc, że nie umiem rozróżnić kroku indyanina od kroku bawoła. Niestety, za ledwie w kilka chwil później pojawiło się na obu brzegach rzeki paruset czerwonoskórców. Krzyknęli na nas, byśmy podpłynęli ku brzegowi...

— I cóżeście wówczas uczynili?

— Czyż mogliśmy wybierać? Na obu brzegach pełno było wrogów. Zanim wylądo-

waliśmy jeszcze, rzucili się na nas i wydarli strzelbę memu towarzyszowi. W tej samej niemal chwili odebrałem ją i oddałem Pottowi. Wyskoczyłem na brzeg, on natomiast zawrócił łódkę na środek rzeki. Wiedział aż nazbyt dobrze, że nie możemy spodziewać się litości; to też gdy pierwsza strzała go zraniła, podniósł flintę i zaczął strzelać raz po raz. W odpowiedzi pomknęła ku niemu chmura strzał z łuków, ozwał się jęk, jeden i drugi, potem nastąpiła cisza, straszna cisza... Kiedy czerwonoskórcy przekonali się już, że Pott nie żyje, cała ich złość zwróciła się przeciwko mnie. Skrępowali mnie, przywiązali do drzewa i rozłożywszy się obozem dokoła, rozpoczęli narady nad tem, w jaki sposób pozbawić mnie życia. Rozumiałem niemal wszystko, co mówili. Jedni doradzali, aby naszpikować mnie strzałami, — inni proponowali, aby wypróbować sprawność młodzieży w rzucaniu tomhawkiem, jeszcze inni mówili o spaleniu na stosie. Ale najstarszy z wodzów rozstrzygnął, wybierając bardziej urozmaicony sposób śmierci. Zbliżył się ku mnie i zapytał, czy umiem dobrze biegać. Zrozumiałem odrazu; postanowiono urządzić polowanie, przy którym ja miałem być zwierzyną. Aczkolwiek byłem pewny, że nie łatwo mnie ktoś doścignie, odpowiedziałem wodzowi pochlebstwem,

że pod względem chyżości biegu nikt nie dorówna czerwonemu wojownikowi.

— Pochlebstwo to nie chybiło zapewne celu?

— Istotnie. Podstęp się udał; zależało mi zaś bardzo na tem, ponieważ w ten sposób otwierała się bądźco bądź przedemną jakaś droga ratunku. Bardzo niepewna, to prawda, ale w tym wypadku jedyna. Wyprowadzono mnie na preryę, młodzi wojownicy ustawili się rzędami. W odległości mniejwięcej czterystu kroków przed nimi puszczono mnie wolno. W tej samej chwili ozwały się z tyłu okropne wrzaski; rozpoczął się pościg... Trudno mi opowiedzieć, co się działo później. Biegłem naprzód, jak wichur. Pędziło mnie pragnienie ocalenia życia, chociaż zdawałem sobie sprawę, że wszystko jest nadaremno, bo czyż mogłem sprostać stu ścigającym, ja jeden. W dodatku prerya była porośnięta kolczastymi roślinami, które kaleczyły mi nogi. Mimo wszystko biegłem, z straszną obawą, że lada chwila ktoś z wrogów mnie doścignie, lub że lada chwila ugodzi mnie śmiertelna strzała. Nie śmiałem obejrzeć się poza siebie, by nie utracić ani jednej sekundy.

Opowiadający umiął znowu na chwilę, jakgdyby przeżywając raz jeszcze ten strasz-

ny pościg. Milczeli i słuchacze, rozumiejąc grozę położenia i przykrość wspomnień.

— Przebiegłem tak bardzo znaczną przestrzeń. Aczkolwiek nie odważałem się odwrócić, to jednak nie przestawałem nasłuchiwać. I usłyszałem niebawem, że hałas pościgu cichnie z każdą chwilą. To dodało mi otuchy. Od pobliskiej rzeki dzieliła mnie zaledwie mila drogi, a rzeka mogła się stać ocaleniem. Odwróciłem się na przeciąg jednej sekundy. Nie myliłem się. Pościg znajdował się daleko poza mną, tylko kilku szybkobiegaczy podążało w odległości jakichś stu kroków. Podwoiłem wysiłki, mimo że z ust i z nosa płynęła już krew. I po dziś dzień dziwię się jeszcze, że nie straciłem wówczas przytomności umysłu. Biegłem bez przerwy. Teraz jednak słyszałem już wyraźnie poza sobą kroki jednego z przesładowców. Obejrzałem się w tył i ujrzałem, że wróg, nie ustając biegnąc, mierzy we mnie oszczepem. Czyż można było wątpić, że chybi? Odruchowo całkiem zatrzymałem się i zwróciłem wprost ku niemu. I nagle stał się cud. Inaczej nazwać tego nie mogę. Indyanin chciał się cofnąć na widok mego zwrotu, potknął się i padł na ziemię. W tej samej niemal chwili stałem już obok, wyrwałem z ręki jego oszczep i przebiłem mu pierś. Potem popędziłem dalej... Niebawem usłysza-

łem głośne wrzaski i jęki. Czerwonoskórcy oplakiwali poległego. Wykorzystałem tę zwłokę pościgu i dobiegłem do rzeki. Skoczyłem w fale i dotarłem do maleńkiej wysepki, na której prąd wody nagromadził stosy pni drzewnych i gałęzi. Nurkując, wpłynąłem po pod nie i wynalazłem powne miejsce, gdzie sztuczny ten dach wznosił się kilkanaście cali ponad wodę. Wynurzyłem głowę i odetchnąłem swobodniej. Niedługo później ścigający stanęli również na brzegu rzeki, kilku podплыnęło ku wysepce. Przesuwali się niemal tuż obok, ale nie dostrzegli mnie pod olbrzymim stosem gałęzi. Chwile te wydawały mi się wiekiem. Nareszcie jednak zakończyły się moje cierpienia. Widocznie przypuścili, że utonąłem i zaniechali dalszych poszukiwań. Mimo to aż do zmierzchu pozostałem w kryjówce. Dopiero gdy noc zapadła, przedostałem się na drugi brzeg, ostrożnie wdrapałem się na niego i aż do świtu wędrowałem przez lasy, aby jak najdalej uciec przed żądnymi krwi prześladowcami. Lecz nie na tem koniec moich cierpień. Byłem zupełnie nagi, bo, czerwonoskórcy zdarli ze mnie całe ubranie. A musiałem wędrować przez kilka dni, zanim dotarłem do siedziby białych. W dzień słońce prażyło moje ciało, w nocy dokuczało mi zimno i wichry. Napotykałem

po drodze mnóstwo rozmaitej zwierzyny, a musiałem żywić się korzonkami i jagodami, nie posiadając żadnej broni. Ale radość z powodu uniknięcia tak straszego niebezpieczeństwa dodawała mi sił. I wreszcie dotarłem do stacyi handlowej nad rzeką Yellowstone, gdzie znalazłem serdeczne przyjęcie, żywność, broń i wypoczynek spokojny i pewny.

Jan Colter zamilkł i spojrział na jasne niebo, pokryte nieprzeliczonym rojem gwiazd. Z obecnych nikt nie odzywał się również. Dwa te wstrząsające opowiadania wywarły tem większe wrażenie, ponieważ wszyscy wyruszyli na wyprawę, grożącą na każdym niemal kroku podobnemi niebezpieczeństwami. Odważnie i nieustraszenie gotowi byli stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, ale skoro jedynie myśleli o niem, w sercach budziło się coś, jakby niepokój.

III.

Czerwonoskórzy wrogowie i przyjaciele.

Wbrew przewidywaniom i obawom następne dni podróży minęły całkiem spokojnie. Dopiero gdy wyprawa przybyła do Platte River i rozbiła obóz na małej wysepce, przystrojonej cudną szatą wiosennej zieleni, kilku myśliwych, którzy wyszli na łowy, znalazło na północnym brzegu rzeki świeże ślady wielkiego oddziału czerwonoskórych wojowników. Późnym wieczorem ukazały się łuny na skraju widnokregu, co obudziło przypuszczenie, że czerwonoskórzy podpalili za sobą trawy preryi, celem zatarcia swego tropu.

Podwojono czujność w obozie, ale ani tego dnia ani następnych nie zaniepokoiło nic naszych wędrowców.

Pewnego wieczoru myśliwi zasiedli znowu dokoła ogniska, gawędząc o swych przygodach.

Ramsay Crooks, stojący na straży wraz z kilkoma Kanadyjczykami, wydrapał się na ogromny, samotnie stojący wiąz, aby z jego szczytu rozejrzeć się po okolicy.

Po chwili z pośród gęstej korony listowia zabrzmiał okrzyk puchacza, umówione hasło ostrzegawcze. Natychmiast ucichły rozmowy, myśliwi pochycili stojące obok nich strzelby. Ponieważ Crooks nie schodził na dół, jeden z myśliwych zbliżył się ku drzewu i zapytał stłumionym głosem, co się stało.

— Nie wiem jeszcze dokładnie — odpowiedział szept ze szczytu drzewa. — Zdaje się jednak, że indyane zbliżają się ku nam. W bladym świetle księżyca rozróżniam trzy ciemne, ludzkie postacie, skradające się ku obozowi. Najlepiej będzie oczekiwać na nich w zupełnej ciszy.

Myśliwy powtórzył szybko towarzyszom otrzymaną wiadomość. W przeciągu krótkiej chwili pobudzono śpiących, sześćdziesięciu ludzi z bronią w ręku oczekiwało na przybycie nieproszonych gości.

Przez kwadrans jeszcze trwało niezakłócone niczem milczenie. Można było niemal

przypuścić, że Crooks pomylił się, bo na okół nie odzywał się najlżejszy nawet szmer.

Wtem tuż obok obozu zabrzmiał głośny okrzyk wojenny indyan, w świetle ognisk pojawiło się jedenaście dzikich postaci, z pióropuszcami na głowach, z tombawkami w ręku. Ujrawszy przeszło pół sta zbrojnych naprzeciwko siebie, czerwonoskórcy zawahali się na chwilę.

Ale w tej samej chwili Mac Lellan, jak dziki kot, skoczył ku dowódcy i zręcznie podstawiwszy mu nogę, obalił go na ziemię i skrzepował silnie. Ten sam los spotkał niebawem i innych wojowników. Na każdego z nich rzuciło się kilku uczestników wyprawy; zanim zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, znajdowali się już w niewoli.

Skrzepowanych zawleczono ku ognisku starszyzny, aby wybadać, z jakiego pochodzą szczepu i skąd przybyli.

Piotr Dorión służył za tłumacza.

Okazało się, że napastnicy należeli do wielkiej hordy Siuksów, która niedawno przeciągała tą okolicą. Z powodu niepowodzeń, jakie prześladowały ich na wojennej ścieżce, ukarano ich pozbawieniem ubrania i wygnaniem; teraz pragnęli okupić swą winę zwycięstwem nad białymi i w tryumfie powrócić ze zdobyczą i nowemi skalpami do obozu.

Obecni naradzali się dość długo nad tem, co uczynić z więźniami. Mac Lellan, mający dawne porachunki z plemieniem Siuksów, domagał się, by ich zabić bez litości; natomiast Hunt, pamiętający o celu wyprawy, nie chciał mnożyć sobie wrogów po drodze i radził puścić wolno więźniów.

Ostatecznie przewieziono Siuksów na przeciwny brzeg rzeki, grożąc im śmiercią, gdyby odważyli się jeszcze kiedyś zbliżyć do wyprawy bladych twarzy.

Następnego dnia oddział powiększył się, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, pięcioma dzielnymi ludźmi.

Najpierw napotkano małą łódkę, w której siedzieli dwaj nieustraszeni wędrowcy Benjamin Jones i Aleksander Carson. Obaj przepłynęli tak w swej łupinie tysiąc mil z górą, nie troszcząc się o grożące im zewsząd niebezpieczeństwa. Dowiedziawszy się o celu i zamiarach wyprawy, chętnie przyłączyli się do niej.

W parę godzin później ujrano na falach rzeki drugą łódź z trzema białymi. Niezwykłe było zdumienie i radość członków wyprawy, kiedy się przekonali, że widzą przed sobą trzech najdzielniejszych myśliwców z Kentucky, pozostających dawniej w służbie kanadyjskich handlarzy futer, a teraz polujących

na własną rękę. Hunt odkupił od nich futra, jakie wieźli i przyrzekł im znaczne korzyści, jeżeli przyłączą się do wyprawy, na co też zgodzili się wreszcie.

Powiększywszy i wzmocniwszy w ten sposób swe szeregi, Hunt zwołał wszystkich na wielką naradę. Było to tem bardziej konieczne, ponieważ trzej ostatni przybysze przywieźli wiadomość, że w górze rzeki gromadzą się znaczne siły czerwonoskórych, zamierzając widocznie napaść na wyprawę.

— Cóż radzicie panowie uczynić? — spytał Hunt zebranych.

— Mamy tylko dwie drogi do wyboru — odezwał się Crooks — albo zawrócić, albo przedrzeć się przez hordy nieprzyjaciół.

— O dobrowolnym odwrocie szkoda i mówić — oświadczył Hunt. — Na to nikt z nas się nie zgodzi. Pozostaje więc walka.

— Połączyłem się z wami, ponieważ ufam, że zamierzony cel można osiągnąć — rzekł najstarszy z kentuckich myśliwców, Edward Robinson. — Ale nie zdaje mi się, że dobrą obraliśmy drogę.

— A cóżbyś pan radził? — spytał Hunt. — Mów pan szczerze.

— Radziłbym zboczyć bardziej ku południowi i zdążyć ku źródłom Platte River i Yellowstone River. W tem miejscu góry są

mniej strome i łatwiej je przebyć. Okolice są pełne wszelkiej zwierzyny, dzięki czemu nie zabraknie nam żywności. Natomiast mniej tam znacznie czerwonoskórych, więc łatwiej unikniemy z nimi spotkania. Oto moje zdanie.

Kilku obecnych potwierdziło słuszność rady, wobec czego i Hunt postanowił zastosować się do niej.

Edward Robinson został więc przewodnikiem wyprawy, która, ożywiona najlepszymi nadziejami, puściła się naprzód.

Niebawem jednak prąd wody okazał się tak wartki, że, aby przedostać się przez wiry, kilku Kanadyjczyków musiało wysiąść na brzeg i ciągnąć statki na linach.

Niedaleko jeszcze uszli, gdy nagle z poza pnia drzewnego wychylił się indyanin, pomalowany wojennymi barwami i wstrząsając groźnie włócznią, nakazał się im zatrzymać.

Kanadyjczycy puścili z rąk liny i z okrzykiem przerażenia skoczyli do rzeki.

Statki, porwane prądem, cofnęły się z powrotem; dopiero po dłuższej chwili zatrzymano je, wiosłując z wytężeniem.

Tymczasem oba brzegi rzeki zaroily się czerwonoskórymi wojownikami. Z daleka było widoczne, że należą do plemienia Siuksów i że zbliżają się bynajmniej nie w dobrych zamiarach.

Myśliwcy podnieśli strzelby do ramienia. Ale Hunt postanowił spróbować jeszcze układów, zanim dojdzie do rozlewu krwi. Wsiadł więc do łódki w towarzystwie Piotra Doriona, służącego za tłumacza, i skierował ją ku brzegowi. Naprzeciwko wyszedł jakiś czerwonoskóry olbrzym, jeden z dowódców hordy.

Hunt, za pośrednictwem Doriona, oświadczył mu, że biali przybywają w pokojowych zamiarach i że dziwi ich bardzo to wrogie powitanie, oraz widok tak licznie zebranych wojowników.

— Błede twarze opowiadają zawsze o przyjaźni i pokoju, nawet kiedy odkopują siekiere wojenną—odparł niechętnie wódz.

— Zdarza się i to niekiedy — rzekł Hunt.—Ale byłoby wielką nierozwagą, gdyby dzielni wojownicy ze szczepu Siuksów-Tetonów jedną miarą mierzyli wszystkich białych ludzi. Są i źli i dobrzy pomiędzy nimi, a mądry wódz potrafi rozróżnić przyjaciół od wrogów.

— Język białych twarzy jest jak miód słodki; pochlebstwem każde brzmi słowo. A przecież w wigwamach naszych oplakują wojownicy śmierć niejednego młodzieńca. Więc czyż Tetoni źle postępują, pragnąc oddalić od siebie blade twarze?

— Ale tym razem blade twarze niosą korzyść swym czerwonym braciom, a nie zagładę. Ani nie zamierzają się tu osiedlić, ani polować, dążą tylko ku wielkiej słonej wodzie i chcą dać czerwonym braciom bogaty okup za prawo przejazdu. I nie można pojąć, dla czego Tetoni mieliby się temu sprzeciwić.

Wódz był jednakże niewzruszony; przemawiał kwiecistym stylem indyjskim, ale w głosie jego brzmiała straszna nienawiść do białych. Odrzucił nawet prośbę o zwołanie całej starszyny na naradę, wobec czego Hunt zrozumiał bezcelowość dalszych układów. Zagroził zatem, że przemocą zdobędzie sobie przejście.

— Błada twarz pojmuje chyba sama niedorzeczność tej chwalby—odparł wódz z niewzruszonym spokojem. — Jakże mało posiada strzelb do walki z setkami dzielnych wojowników.

Hunt odbił od brzegu, dając towarzyszom umówiony znak, że układy nie doprowadziły do celu.

W odpowiedzi huknął natychmiast wystrzał armatni z najbliższego statku.

Ramsay Crooks, przekonany o bezowocności usiłowań Hunta, już poprzednio nabił haubicę.

Straszny huk i spustoszenie, sprawione

przez kule w nadbrzeżnym lesie, wywarły oczekiwany skutek. Wszyscy czerwonoskórcy umknęli w jednej chwili z brzegów rzeki.

Dopiero po pewnym czasie na odległym wzgórzu wśród preryi pojawiła się znowu gromadka indyan. Bogate stroje i barwne pióropusze wskazywały, że są to wodzowie szczepu.

Huknęła haubica z drugiego statku.

Józef Miller, były oficer amerykański, wycelował ją w ostatniej chwili na wzgórze i wycelował dobrze. Pióropusze zniknęły, jak na skinienie różdżką czarodziejską.

Wkrótce potem przemknął w tę samą stronę jakiś jeździec na karym mustangu.

Trzeci wystrzał armatni wyrwał ogromną dziurę w lesie na przeciwległym brzegu.

Myśliwcy przyłożyli strzelby do ramienia, aby powalić każdego wroga, który pojawiłby się na wybrzeżu podczas nabijania armat na nowo. Już miały paść pierwsze strzały, gdy nagle Piotr Dorion zakrzyknął na towarzyszy:

— Nie strzelać! Nie strzelać! Dają pokojowe znaki. Widocznie armatki dokazały tego, czego nie udało się osiągnąć przez układy. Teraz pojmy łatwiej nasze żądania.

Hunt wsiadł jeszcze raz do łodzi, w towarzystwie kilku najstarszych członków wy-

prawy i rozkazawszy, by zarówno działa jak strzelby były w pogotowiu, udał się na naraudę z starszyzną czerwonoskórcych.

Wszyscy zasiedli dokoła rozpalonego na brzegu ogniska, rozpoczęły się powitalne uroczystości, poczem podano fajkę pokoju. Skoro obiegła już dokoła, Hunt powtórzył raz jeszcze poprzednie zapewnienia pokojowe, złożył wodzom przywiezione dla nich podarunki, składające się z kilku worków tytoniu i kilku worków zboża, nie szczędził pochlebnych słów.

Odpowiedział mu najstarszy z wodzów niezwykle kwiecistymi słowami, tłumacząc, że czerwoni wojownicy musieli zrazu zająć wrogą postawę, nie wiedząc, kto zbliża się ku ich wioskom. Lecz przekonawszy się obecnie, że blade twarze przybyły w przyjacielskich zamiarach, nie będą przeszkadzać przejazdowi, jeżeli tylko biali zapewnią, że nie wejdą w stosunki handlowe z Aricarami, Mandanami i Minatarisami, którzy są podłym i tchórzliwym plemieniem. Bo Tetoni nie pozwolą na to, by te wstrętne psy otrzymały od białych towary lub broń ognistą.

Piotr Dorion przetłumaczył tę napuszystą mowę, poczem obecni uświęcili przymierze powtórnym wypaleniem fajki pokoju.

Hunt i towarzysze powrócili na statki,

zaś czerwonoskórzy wodzowie zgromadzili swe drużyny, zabrali otrzymane dary i cofnęli się w głąb lasów.

Dalszej podróży wyprawy nie stało już nic na przeszkodzie; wyrzucono liny na brzeg i przeholowano łodzie poprzez pełne wirów miejsca rzeki.

Jeżeli już dotychczas podróż po falach Missouri sprawiała miłośnikowi przyrody niezwykłą rozkosz, to odtąd stała się jeszcze miłsza, bo otaczające krajobrazy były coraz piękniejsze i pełniejsze uroku. Cała prerya pokryła się wspinałym, barwnym dywanem; gdzie okiem sięgnąć, rozkwitały czarowne kwiaty.

Wysepki, przy których podróżnicy zatrzymywali się zazwyczaj na nocleg, były bądź zalesione, bądź wyglądały jak kwitnące ogrody. Nierzadko spotykano na wysepkach smukłe, lekliwe antylopy, lub olbrzymie, włochate bawoły. Gdziekolwiek brzeg był tak zryty kopytami bizunów, że wyglądał niemal jakby gościeńiec, zbudowany sztucznie ludzką ręką.

Całe gromady tych mieszkańców preryi przeprowały się czasem przez rzekę, a porwana wirem sztuka stawała się łupem naszych myśliwców. Bywała to zdobycz niezmiernie pożądana, bo Hunt, dążąc pośpiesznie

naprzód, nie pozwalał teraz myśliwcom wyruszać na łowy. Zawsze też siedziało na przodzie łodzi kilku strzelców, gotowych posłać dobrze wymierzoną kulę płynącej gazeli lub jeleniowi. Upolowaną zwierzynę chwytano na łąso i wyciągano na pokład. Zwłaszcza Jan Day odznaczał się niezwykłą celnością strzałów i szczęściem myśliwskim.

Wcale szybko posuwano się naprzód. Cuda przyrody, codzienne przygody myśliwskie urozmaicały podróż; przy każdym posiłku nie brakowało dla nikogo smacznej pieczeni.

Celem lepszego zabezpieczenia się przed nieprzewidzianą napaścią, jeden ze statków pod wodzą Hunta płynął zawsze wzdłuż lewego brzegu rzeki, inne zaś po stronie przeciwnej; dzięki temu, zwłaszcza na zakrętach drogi, łatwiej możnaby było dostrzedz czerwonoskórych, znajdujących się na brzegu rzeki i czających się tam w złych zamiarach.

Przezorność ta niebawem okazała się nader pożyteczną.

Pewnego popołudnia, gdy Hunt zamierzał właśnie cofnąć się na środek rzeki, aby wyminąć mieliznę, na której utknął, zagrzmiął od przeciwnego brzegu ostrzegający wystrzał. Równocześnie na zboczu nadbrzeżnym, obok którego Hunt miał właśnie prze-

płynąć, pojawiła się liczna gromada wojowników indyjskich, uzbrojonych w łuki, tomhawki i maczugi, a nawet w kilka starych strzelb.

Wędrowcy zajęli obronną pozycję, zaniepokojeni nieco pojawieniem się wroga, który otoczył ich z przodu i z tyłu. Myśliwcy pochwycili strzelby, Ramsey Crooks nabijał szybko armatę.

Zanim jednak jeszcze wędrowcy ochłonęli z pierwszego wrażenia, kilkunastu wojowników odrzuciło broń i wpływ pośpieszyło ku łodzi Hunta. Za pośrednictwem Piotra Doriona porozumiano się z nimi. Okazało się, że są to połączone plemiona Aricarów, Mandanów i Minnetarisów, żyjące w ciągłej wojnie z Siuksami.

Czerwonoskórce powitali z radością blade twarze, ku czemu oczywiście nie mało przyczyniła się nadzieja podarków, które mogą wyłudzić.

Hunt zawiadomił łodzie na przeciwległym brzegu, że nie grozi wcale niebezpieczeństwo; potem zaś wdał się w układy handlowe z wodzami czerwonoskórych wojowników, chcąc nabyć od nich konie, potrzebne do podróży przez góry. Dzicy zgodzili się je sprzedać, prosili tylko, by Hunt podpłynął do

wielkiej osady Aricarów, znajdującej się nieco dalej nad brzegiem rzeki.

W niedługą chwilę po serdecznem pożegnaniu, ukazał się ponownie najstarszy z wodzów szczepu i w kwiecistej przemowie żądał podarunków, któreby mógł pokazać w osadzie na dowód, że istotnie spotkał się z białymi. Hunt uśmiechnął się i dał mu małą baryłkę prochu, woreczek kul i tuzin noży. Tem chętniej wypełnił żądanie, ponieważ pragnął hojnością zjednać sobie poparcie wodza przy kupnie koni.

Wieś nie była zbyt odległa, mimo to jednak podróż do niej trwała parę dni, ponieważ natrafiano na coraz silniejsze prądy i wiry.

Dowodziło to również, jak słuszna była rada, udzielona swego czasu przez Edwarda Robinsona; należało jaknajrychlej porzucić statki i ruszyć dalej drogą lądową.

W pobliżu osady powitał wędrowców radosnymi okrzykami tłum kobiet i dzieci. Na brzegu rzeki rozbito namioty i na wszelki wypadek rozstawiono silne straże; potem Hunt, z kilkoma towarzyszami i Piotrem Dorionem, udał się do wigwamu rady.

Po dopełnieniu nieuniknionych ceremonii, z których najważniejszą było wypalenie fajki

pokoju, rozpoczęli czerwonoskórcy długie opowiadanie, jak to ocalili blade twarze przed napadem swych towarzyszy z plemienia Mandanów i Minetarisów, którzy zamierzali wyzyskać utknięcie łodzi na mieliźnie i ograbić je doszczętnie.

Aczkolwiek Hunt nie wiedział, czy istotnie tak było, podziękował serdecznie swym czerwonym braciom, potem zaś począł zaraz mówić o zakupnie koni.

Teraz jednak czerwonoskórcy stali się ogromnie wstrzemięźliwi w słowach; szukali wybiegów, dowodzili, że białym braciom nie spieszy się przecież i że niechybnie zatrzymają się w osadzie przez czas dłuższy.

Wszystko wskazywało, że albo Aricarowie nie posiadają tych ogromnych stadnin, o jakich opowiadali, albo też przygotowują jakiś podstęp. Wobec tego Hunt uparł się, że chce zaraz obejrzeć konie.

Twarze indyan wydłużyły się bardzo, wreszcie jednak ulegli żądaniu.

Konie pasły się dość daleko od osady, w malowniczej dolinie. Nie było ich wiele, przeważnie młode mustangi, jeszcze nieokiełznane; to też Hunt i towarzysze rozczarowali się nieco. Rozczarowanie wzmogło się jeszcze, gdy najstarszy z wodzów oświadczył, że

konie te nie są przeznaczone na sprzedaż, lecz że wojownicy przygotowali je, zamierzając wyruszyć na polowanie na bawoły.

Zawód był gorzki.

— Więc jakże nasi bracia Aricarowie dotrzymają danego nam uroczyste przyrzeczenia?—zapytał Hunt z pewną złością.—Czyż chcą się okazać kłamcami, niegodnymi nazwy wojownika?

— Niech białe twarze nie niepokoją się o to — odpowiedział z powagą stary wódz. — Potrzeba mieć tylko nieco cierpliwości.

Nie było istotnie innej rady; na razie przynajmniej. Podróż przez wiry rzeki była tak powolna, że zwłokę można było powetować w ciągu kilku dni po otrzymaniu koni.

Hunt i towarzysze powracali do obozu zniecierpliwieni, lecz przekonani o konieczności czekania.

Po drodze usłyszeli hałaśliwe wrzaski; wszyscy niemal mieszkańcy skupiali się u wejścia do osady. Bo oto wojownicy szczepu Aricara wracali z wojennej wyprawy przeciwko Siuksom. Dziwnie wyglądali ci wszyscy ludzie, pomalowani w czarne i białe pasy na całym ciele, czem przypomnieli żebry, z ol-

brzymiami piórami na głowie, z groźnemi tomhawkami w ręku. Na widok ich cała osada wybuchnęła głośnym okrzykiem zapału. Jechali podzieleni na drobne oddziały; na czele każdego widać było jakby herolda, trzymającego pieniek drzewny, z którego gałęzi zwisały miast liści skalpy nieprzyjaciół.

Wędrowcy przyglądali się z zajęciem niezwyktemu nawet dla nich widokowi. Podziwiali zwłaszcza zapał i miłość, z jaką witano powracających.

— Po raz pierwszy widzę coś podobnego — odezwał się Hunt. — Nie przypuszczałem nigdy, by tak kochali swoje rodziny i by tak byli sami kochani.

— Tem smutniejsze są ich ustawiczne, bohaterskie walki pomiędzy sobą — odrzekł Mac Kenzie. — W sercach tych ludzi tkwią istotnie szlachetne pierwiastki, tkwią uczucia przyjaźni i miłości. Ale niestety pragnienie walki, duma szczepowa i dzikość stały się już drugą naturą. Zdaje mi się, że nigdy nie zdołają wyjść z tych manowców, że, wcześniej czy później, wyginą w bratobójczych walkach i w ustawicznej wojnie z białymi. Sami gotują sobie zgubę; a szkoda wielka, naprawdę.

Rozmawiając z sobą o zwyczajach indyan,

powracali powoli do obozu. I tutaj zwłoka wywołała pewne rozgoryczenie. Ale nie było rady.

Zresztą niektórzy z myśliwców byli nawet zadowoleni, że po długiej podróży na falach rzeki mogą nareszcie zapuścić się głębiej w odwieczne bory i zapolować na zwierzyne, a to tem pewniej i bezpieczniej, ponieważ ze strony poczciwych Aricarów nie grozić nie mogło. Co wieczór też kanadyjscy kucharze mieli do wyboru mnóstwo smacznych kąsków, a wędrowcy dobrem jedzeniem uspakajali dręczącą ich niecierpliwość.

Pewnego dnia nareszcie stary wódz przybył osobiście do namiotu Hunta i zawiadomił, z uradowaną twarzą, że konie są już przygotowane.

Istotnie na pastwisku oczekiwało sto koni z górą.

Rozpoczęło się oglądanie wierzchowców, próbowanie i targi. Przy sposobności tej Aricarowie dowiedli dostatecznie, że, chociaż dotrzymują danych obietnic, nie posiadają bynajmniej cnoty skromności. W zamian za konie zażądali między innymi nawet jednej z armat, aby z jej pomocą zgnębić ostatecznie swych wrogów Siuksów i długo trzeba im było tłómaczyć, że haubica byłaby raczej

przeszkodą niż pomocą w ich wojennych wyprawach i że nie potrafiliby dać sobie z nią rady.

Targi zajęły niemal cały dzień i zaostrzyły się do tego stopnia, że to jedna to druga strona groziła zerwaniem wszelkich układów.

Nareszcie osiągnięto porozumienie, Aricarowie otrzymali w zamian za sto koni dwadzieścia starych muszkietów i potrzebną ilość amunicji, dwadzieścia skrzynek tytoniu, kilka tuzinów noży, parę worków zboża. Prócz tego niepotrzebne już teraz łodzie zostawiono im na przechowanie.

Zdziwili się nazajutrz wędrowcy, gdy przyprowadzono im konie z obciętemi zupełnie ogonami.

Aricarowie dowodzili, że uczynili to dla tego, aby konie ich białych braci nie pomieszały się z mustangami wojowników; w rzeczywistości nie żywili wcale tej obawy, a chcieli tylko zachować dla siebie cenne włosie.

W obozie zapanowało znowu niezwykle ożywienie; objuczano konie, kończono przygotowania do dalszej podróży.

Kilkudziesięciu jeźdźców aricaryjskich

ofiarowało się przeprowadzić wędrowców spory kawał drogi.

W parę godzin później oddział ujrzał już przed sobą Czarne Góry.

— Czy wiesz pan, dlaczego tak długo czekaliśmy na konie — odezwał się Piotr Dorrion do Hunta, jadącego na czele myśliwców.

— Dlaczego?— spytał tenże.

— Było to niesłychanie proste i doprawdy, pojąć nie mogę, czemu dopiero teraz pomyślałem o tem.

— Musieli czekać, aż wojownicy powrócą z wojennych ścieżek?

— Bynajmniej. Ci nicponie nie posiadali wcale koni oprócz tych, jakimi posługiwali się wojownicy i tych, które miały służyć do polowania na bawoły. A tych nie byłoby nam z pewnością sprzedali.

— Więc cóż uczynili?

— Otóż to właśnie było przyczyną zwłoki. Dowiedzieli się, że potrzebujemy koni i że zapłacimy za nie dobrze. Nie chcieli utracić spodziewanych zysków, a ponieważ sami nie mieli koni, pokradli je poprostu w sąsiednich osadach. W tem kryje się cała tajemnica ich postępowania.

Hunt nie był bardzo zadowolony tem wyjaśnieniem; co więcej, zdawał sobie doskonałe sprawę, że skutkiem tego nowe niebez-

pieczeństwa zawisły im nad głową. Gdyby napotkali przypadkiem okradzionych na swej drodze? Co wtedy?

— Naprawdę, cieszę się bardzo—rzekł po chwili—że zdążamy już naprzód; pragnąłbym jaknajszybciej opuścić te okolice.

IV.

Na przełęczach gór i rozpaczy.

Zgodnie ze swem pragnieniem, Hunt podążał naprzód z takim pośpiechem, że niektórzy wędrowcy poczęli aż szemrać z niezadowolonia. Droga wiodła poprzez kilka dopływów Missouri, poprzez ogołoczone z drzew prerye.

Jakże jednak zmienił się ich wygląd w ciągu niewielu miesięcy; znikła wspaniała zieloność, zniknęły kwiaty, palące promienie słońca wysuszyły niemal całkowicie tę bujną roślinność stepu.

I wędrowcom niemało dokuczalo słońce; gdyby nie chłodne od gór podmuchy, orzeźwiający im czoła, nieraz ustaliby w drodze. Ale wiatr ten był ich zbawieniem. Jeden tylko Ramsay Crooks rozchorował się po paru dniach tak ciężko, że nie mógł się utrzymać

na siodle. Sporządzono dla niego rodzaj lektyki, umieszczonej między dwoma końmi, i ułożono w niej chorego. Jonatan Water-son upłócił kunsztownie z gałązek zasłonę, która ocieniała mu czoło.

W dniu 28-go lipca stanęli wreszcie wędrowcy nad brzegami Big River. Tutaj więcej już było drzew i zarośli; na powierzchni ziemi widniały świeże tropy bawołów. Postanowiono wypocząć kilka dni, aby upolować trochę zwierzyny i aby chory mógł powrócić do zdrowia.

Ale kilka dni zmieniło się w dwa tygodnie. Podczas jednej z wycieczek myśliwskich dotarł Jan Day do wioski indyjskiej, zamieszkałej przez Czejenów, okazujących zawsze białym wielką życzliwość. Wypalono z czerwonoskórcami fajkę pokoju, a ponieważ posiadali sporo koni, Hunt nawiązał z nimi układy, by powiększyć swój tabor. Czejenowie nie targowali się długo, łapczywość i chytryść nie były ich przymiotem.

Z przyjemnością spoglądali wędrowcy na dzikich wojowników; wszyscy mężczyźni odznaczali się pięknnością i siłą, każdy niemal mógł być modelem dla rzeźbiarza. Wielu nosiło mokasiny i wysokie kamasze z jeleniej skóry, na ramiona zarzucali malowniczo bawole płaszcz. Jeździli konno z niesłychaną zręcz-

nością i wdziękiem, dokazywali sztuk, które wydawały się niemal niemożliwe. Nieraz też wędrowcy, przyglądający się ich popisom, byli przekonani, że i jeździec i koń nie wyjdą żywo z przygody; tymczasem wbrew oczekiwaniom powracali cało i zdrowo.

Po upływie dwóch tygodni pożegnano gościnniego szczep. Tabor wyprawy powiększył się o czterdzieści koni, dzięki czemu można było wygodniej rozmieścić bagaże i szybciej posuwać się naprzód.

Z każdym dniem zbliżały się olbrzymie góry, z każdym dniem chłód stawał się coraz większy, czem na razie wędrowcy, spaleni żarem słonecznym, bardzo się radowali. Ale równocześnie droga stawała się coraz uciążliwsza.

Wjechali wreszcie w Czarne Góry. Droga była niezwykle stroma, skały posiadały najdziwaczniejsze kształty. Ciągłe wydawało się wędrowcom, że widzą olbrzymie, nieprzebyte mury; to znowu miasta z zygzakowatymi dachami i wieżami; to jakieś potworne, niezemskie postacie.

I nie dziwili się już wcale zabobonnej trwodze, jaką budziły te olbrzymie skalne wśród okolicznych indyan. Kiedy ponad szczy-

tami kłębiły się czarne chmury, podczas gdy na równinach panowała najpiękniejsza pogoda, mieszkańcy preryi byli przekonani, że to źli bogowie rozbili tam swe namioty. I dlatego też, zapuszczając się w te przesmyki górskie, składali zawsze u stóp skał ofiarne dary, aby okupić sobie łaskawość „niewidzialnych władców gór“, wybłagać u nich pogodę i pomyślnę łowy.

Przez kilka dni szukał Hunt wygodnego przejścia, ale nadaremnie. Już zdawało się niekiedy, że znaleziono dość szeroki przesmyk, nagle złomy skalne zamykały znowu drogę; wędrowcy musieli zawracać. Postanowiono wreszcie wyminąć olbrzymy górskie i obejść je od strony południowo-zachodniej.

Ale i ta droga nastęrczała ogromne trudności. Co prawda, łatwiej można było znaleźć tu na pagórze ścieżki; dość często spotykano zwierzynę i uzupełniano zapasy żywności; natomiast całymi dniami brakowało nie raz wody, skutkiem czego ludzie i zwierzęta znosili najstraszniejsze męczarnie z powodu pragnienia. Czasem ukazywały się także szare niedźwiedzie i niepokoiły nocą obóz, zmuszając wędrowców do zdwojonej baczności.

Nakoniec natrafiła wyprawa na ślady licznej hordy czerwonoskórych. Podążono tym

tropem, w nadziei, że droga będzie wygodniejsza. Nadzieja okazała się poniekąd zawodna, przełęcze bowiem wiodły przez nagie skały, poprzerzynane wąwozami, pozabawione zupełnie wody. A w dodatku słońce prażyło tak strasznie, że myśliwcy i konie ustawiali niekiedy w drodze. Wówczas chroniono się w głąb przepaścistych jarów, gdzie przynajmniej panował cień i chłód, gdzie niekiedy znajdowano nikły strumyczek, pozwalający ugasić pragnienie.

I znowu zbliżali się wędrowcy ku skalnym szczytom, ku owemu olbrzymiemu łańcuchowi granitów, rysującemu się wyraźnie na geograficznej karcie Ameryki, a rozciągającemu się, równoległe do wybrzeży Oceanu Spokojnego, od przesmyku Panamskiego aż ku najdalszej prawie, mroźnej północy.

Dzięki niezwyklej swej dzikości i nagości góry te otrzymały nazwę Gór Skalistych. Rocky Mountaines. Indyjanie nazywają je „Szczytami świata“ i wierzą, że tutaj prze-mieszkuje „Pan życia“, Wakondah. Szczepy, mieszkające na wschodnich preryach, nazywają je „Górami zachodzącego słońca“ i opowiadają, że w niedostępnych przepaściach skał kryje się wymarzony raj, kraina duchów, niewidzialna dla oka śmiertelnego.

U podnóża tych gór olbrzymich spotkali się uczestnicy wyprawy z szczepem Wron, szczepem, wślawnym szeroko chytrnością, podstępnością i kradzieżami.

Tym razem wędrowcy nie tylko nie starali się uniknąć spotkania, ale przeciwnie sami usiłowali jaknajprędzej dogonić Indyan. Kupili od nich kilkanaście koni, płacąc za nie więcej, aniżeli za wszystkie poprzednio kupione; wy pytali o drogi i przesmyki.

Po paru dniach niesłychanie uciążliwej podróży i drapaniu się pod górę, wyprawa dostała się wreszcie na olbrzymi płaskowyż. Ale tu oczekiwały ją nowe trudy i znoje.

Naokół rozciągała się wielka pustynia piaszczysta, tu i ówdzie zasiana złomami granitu. Nigdzie nie widać było ni drzewka ni trawki, wszystko spaliły promienie słońca. Zupełnie słusznie nazywają amerykańskie i dzisiaj jeszcze tę okolicę „wielką pustynią amerykańską“.

Hunt i myśliwcy czynili wszystko, co było w ich mocy, by skrzępić upadającą odwagę wyprawy; świecili przykładem, szli ciągle na czele. Dzięki temu, chociaż powoli, jednak posuwano się naprzód.

Tam większa była radość, gdy po dzie-

sięcodniowym, żmudnym pochodzie stanęli wreszcie wędrowcy pewnego wieczora nad falami szerokiej, rwącej rzeki. Cieszyli się, ponieważ podróż wzdłuż biegu rzeki wydawała się im mniej uciążliwa; łatwiej można tu było znaleźć zwierzynę, łatwiej ugasić pragnienie.

Edward Robinson, który w ciągu całej podróży pełnił gorliwie obowiązki przewodnika, twierdził teraz, że wystarczy przebyć jeszcze tylko jeden łańcuch gór, by dotrzeć do źródeł rzeki Kolumbii. Wędrowcy zawierzili jego słowom i po pięciu dniach podróży oddalili się od koryta rzeki, kierując się znowu w głąb skał. Po jednodniowym marszu stanęli na wyżynie, z której widać było bezgraniczną niemal przestrzeń.

— Patrzcie! — zawołał Edward Robinson radosnym głosem, wskazując wyciągniętym palcem trzy śniegiem pokryte szczyty.—Góry te wznoszą się nad rozwidleniem rzeki Kolumbii, przy której ujściu, jak nas zapewnia pan Hunt, stoją już zapewne domy, zbudowane przez członków wyprawy, przybywającej morzem. Tam oto, ku tym szczytom, trzeba iść. A kiedy staniemy nad brzegami rzeki, zbudujemy łodzie i, płynąc z prądem wody, bez trudu i wygodnie dotrzemy do naszych towarzyszy.

Wszyscy uczestnicy wyprawy ucieszyli się niezmiernie temi słowami. Najbardziej jednak radowali się Kanadyjczycy, ponieważ zbliżali się do wody, swego ulubionego żywiołu. To też skakali i tańczyli jak dzieci.

V.

Na pokładzie „Tonquina“.

Jakież były tymczasem losy morskiej wyprawy, po której wędrowcy nasi tak wiele sobie obiecywali?

Wyruszyła ona z Nowego Jorku mniej więcej równocześnie z oddziałem lądowym Hunta, w początkach miesiąca września 1910 roku.

Jan Jakub Astor nabył piękny statek, nazwiskiem „Tonquin“, uzbroił go doskonale, wyposażył we wszystko, co potrzeba, dowództwo zaś powierzył staremu wilkowi morskemu, dzielnemu i nieustraszonemu marynarzowi, Jonatanowi Thornowi, kapitanowi marynarki Stanów Zjednoczonych. Dwaj porucznicy, sternik, siedmnastu majtków i kilku chłopców okrętowych składało załogę statku,

uzbrojonego dziesięcioma zgrabnemi armatkami.

Na kilka dni przed wyruszeniem w drogę przybyli na pokład wspólnicy pana Astora, którzy na miejscu, w przysłej osadzie, mieli objąć kierownictwo. Byli to panowie: Mac Dougal, Mac Kay, Dawid Stuart i jego bratanek, młody jeszcze chłopak, Robert Stuart. Aż do przybycia naczelnego wodza osady, Wilsona Hunta, członkowiej wyprawy, podążającej przez morze ku ujściu Kolumbii, podlegali rozkazom Mac Dougala. Prócz tego należało do składu wyprawy dwunastu młodych handlarzy futer i trzynastu kanadyjczyków.

Kapitan Jonatan Thorn, żołnierz z krwi i kości, przyuczony do wojskowej karności, od samego początku niezbyt chętnem okiem spoglądał na „ładowe szczury“, a to tem bardziej, ponieważ podróżni włóczyli się po całym statku, zaglądali ciekawie w każdy kącik. Aby temu zapobiedz, kapitan niebawem po podniesieniu kotwicy zwołał starszyzną okrętową na naradę do swej kajuty.

— Moi panowie — odezwał się do zebranych. — Wobec tego, że czeka nas daleka i pełna niebezpieczeństw droga, uważam za konieczne przyjęcie pewnych postanowień, obowiązujących bezwarunkowo wszystkich znajdujących się na statku. Jak wam wiadomo,

dążymy z polecenia właściciela okrętu, pana Jana Jakóba Astora, ku ujściu rzeki Kolumbii, gdzie wysadzimy na ląd naszych „podróżnych“ i złożymy wiezione zapasy. Ale chociaż jestem z natury łagodnym człowiekiem, nie zniosę żadnych nieporządków na pokładzie. Mimo wszystko musi tu panować wojskowa karność, inaczej bowiem nie dotarlibyśmy do celu. Nie wątpię też, że panowie nie tylko nie dacie mi powodu do niezadowolenia, lecz przeciwnie będzie mi pomagać wszystkimi siłami.

— Wypełnimy jak najlepiej nasz obowiązek, bądź przekonany, kapitanie — odpowiedział oficer okrętu, Jerzy Howells.

— To też bynajmniej nie o was myślę, lecz o naszych szczurach lądowych. Ich należy przedewszystkiem przyuczyć do karności, o której dotąd, jak się zdaje, nie mają wcale wyobrażenia. Dlatego wezwałem was tutaj, panowie, aby zapoznać was z zarządzeniami, którym odtąd wszyscy muszą być posłuszni. Więc najpierw zabraniam najsurowiej palenia fajek na pokładzie, lub w pobliżu magazynów okrętowych. Ponieważ trudno będzie oduczycy kanadyjczyków śpiewać, więc pozwalam im na to, ale tylko w godzinach wypoczynku i wieczorem. Skoro zabrzmie syrena okrętowa, lub rozpocznie się manewrowanie statkiem, musi

natychmiast nastać najzupełniejsza cisza, a wszyscy muszą powrócić do kajut. Proszę was bardzo panowie, byście jak najczęściej powtarzali tym szczirom lądowym, co znaczą rozkazy: „spokój“ i „opróżnić pokład“ i jakie następstwa może spowodować nieposłuszeństwo. Bądźcie uprzejmi, ale stanowczy. Baczcie bardzo na zachowywanie czystości na statku. Widziałem dzisiaj, jak jeden z kanadyjczyków, paląc fajkę, pluł najspokojniej po pokładzie. Tak być nie może. Nie potrzebuję wreszcie dodawać, że na sygnał „pogasić światła“ wszystkie światła na okręcie muszą być istotnie zgaszone. Chciejcie panowie zatem pamiętać o wszystkim, co powiedziałem.

Oficerowie powtórzyli załodze rozkazy kapitana, polecając, aby zawiadamiano ich zaraz o każdym wypadku niekarności. Spowodowało to liczne waśnie między załogą i szcziurami lądowymi. Kanadyjczycy, pomrukując z niezadowoleniem, musieli zdjąć hamaki, które rozwieszali dotąd najspokojniej nad lawetami dział. Biada szcziurowi lądowemu, który ośmielił się wytrzepać fajeczkę na pokładzie.

— Cóż to? Czy sądzisz, że wieziemy całą tonnę mydła, aby szorować po tobie brudy?—wołano na niego.

Niebawem wydarzył się jeszcze zabawniejszy przypadek.

Kanadyjczycy rozsiedli się w cieniu na pokładzie, gawędząc o swych przygodach. Jeden z nich, barczysty, opalony słońcem mężczyzna, spluwał ciągle przed siebie.

Zauważył to jeden z marynarzy.

— Hej! Bill!—krzyknął na przechodzącego obok chłopca okrętowego—podaj no temu panu spluwaczkę.

Chłopak usłuchał rozkazu, przyniósł z kajuty oficerskiej glinianą spluwaczkę i postawił ją kanadyjczykowi tuż przy nogach.

Ten spojrział ze zdziwieniem na chłopca i na nieznane mu naczynie, poczem odsunął nogą spluwaczkę i spluwał tuż obok.

Chłopak przybliżył ją jeszcze bardziej. Kanadyjczyk odsunął ją znowu i splunął obok, ku niesłychanej i głośnej ucieście marynarzy.

Bill nie zrażał się w dalszym ciągu.

— Słuchajno!—krzyknął wreszcie kanadyjczyk z oburzeniem—zabieraj to, bo jeżeli postawisz mi raz jeszcze, zgniewam się i napluję do środka.

Uciecha marynarzy nie miała granic, kiedy posłyszeli te słowa.

Wiadomość o zajściu obiegła szybko cały statek, budząc powszechną wesołość. Tylko kanadyjczycy siedzieli w ponurem mil-

czeniu, nie wiedząc zresztą, o co chodzi. Pan Dawid Stuart wytłómaczył im wreszcie powód śmiechu, a wtedy i oni sami rozśmiali się dobrodusznie.

Ale zarządzenia kapitana spowodowały i groźniejsze zajścia.

Z nadejściem wieczoru Jonatan Thorn przypomniał oficerom nakaz gaszenia świateł i zalecił im pod tym względem jaknajwiększą surowość.

A właśnie w tej samej chwili panowie Mac Dougal, Mac Kay, Dawid i Robert Stuart siedzieli w kajucie na tyle statku, omawiając plany budowy przy ujściu Kolumbii, zastanawiając się nad sposobami obrony osady.

Nagle otwarły się drzwi kajuty i odezwał się szorstki głos marynarza:

— Zagasić światła! Cisza!

— Cóż to znaczy? — spytał ze zdziwieniem Mac Dougal, zrywając się od stołu, przy którym siedzieli wszyscy.

— To znaczy zapewne, że mamy zgasić światło i położyć się do łóżek — odpowiedział Dawid Stuart, nie mniej zdziwiony tem najściem.

— To by mi się podobało! — krzyknął porywczo Mac Dougal, biegnąc ku drzwiom, aby ukarać marynarza.

Ale marynarz poszedł już dalej.

— Niech no się ośmieli jeszcze raz nam przerywać! — zagroził Dougal.

Nie długo na to czekali. W chwilę później zabrzmiał ponownie taki sam okrzyk.

Mac Dougal uchwycił teraz marynarza za kołnierz i wprowadził do kajuty.

— Jak śmiesz! — wołał, nie mogąc opanować gniewu.

— Rozkaz kapitana — odpowiedział spokojnie marynarz.

— W takim razie powiedz swojemu kapitanowi, że może sobie gasić światła, gdzie mu się podoba, ale tutaj niech nie wtrąca nosa. Tutaj wolno nam robić, co się nam podoba, a nie jemu.

— Ośmielę się zauważyć, że przepis taki obowiązuje na wszystkich okrętach, a żaden kapitan nie ścierpi braku karności.

— Niech dyabli porwą twego kapitana i jego karność — wołał Mac Dougal. — I radzę ci, nie wracaj tutaj, bo pożałujesz tego.

Marynarz wyszedł z kajuty.

Ale zanim jeszcze obecni nawiązali na nowo przerwana rozmowę, pojawił się oficer okrętowy, Potter.

— Proszę panów bardzo — oświadczył — abyście zechcieli zastosować się do wydanych rozkazów. Nikt nie może się wyłamywać z pod obowiązującej karności. Ani kapitan

ani nikt z nas nie zamierza bynajmniej czyścić panom na przekór, przeciwnie pragniemy w miarę możności umilić panom pobyt na statku. Lecz przepisy zostały wydane dla wszystkich i obowiązują.

— Czy nie wydaje się panu—odparł Mac Dougal bardzo ostrym tonem—że skierowałeś się pan pod fałszywym adresem? Nie dziwiemy się temu wcale, że chcecie utrzymać porządek na statku, ale nie jesteśmy także małymi dziećmi, które z uderzeniem godziny ósmej układa się do snu. Uważamy ten rozkaz za niedorzeczny i nie posłuchamy go.

— Nie zapominajcie panowie, że kapitan rozporządza na statku ogromną władzą i że w razie oporu mógłby zastosować wyjątkowe środki, niezbyt dla panów przyjemne.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi. Powtarzam jednak, że nie zniosę takiego postępowania i zaraz rozmówię się z kapitanem. Chodźmy, panowie, musimy wyjaśnić tę sprawę.

Niezwłocznie udali się wszyscy do kajuty kapitana.

Mac Dougal powtórzył mu to samo, co powiedział poprzednio oficerowi.

— Unosisz się pan całkiem niepotrzebnie—odpowiedział kapitan.— Nie zamierzałem bynajmniej dokuczyć panom memi rozporzą-

dzeniami. Muszę jednak domagać się, by ich przestrzegano, jeżeli chcemy zdrowo i bezpiecznie dopłynąć do celu. A jako kapitan to przede wszystkim muszę mieć na względzie, jako kapitan mam prawo żądać posłuszeństwa moim rozkazom.

— Przypisujesz pan sobie, kapitanie, większe prawa, niż istotnie posiadasz. Zamiast kłócić się z nami, przeczytaj lepiej ten dokument, dzięki któremu zmienisz może nieco swe zapatrywania.

Mówiąc to, Mac Dougal podał kapitanowi wielki papier, opatrzony licznymi pieczęciami i podpisami.

Było to pełnomocnictwo, mocą którego Mac Dougal stawał się, aż do przybycia Wilsona Hunta, jedynym i wszechwładnym wodzem wyprawy.

— Teraz pojdziesz pan zapewne — odezwał się nie bez złośliwości Mac Dougal, widząc, że kapitan skończył czytać—że nie pan, lecz ja sam jestem istotnym dowódcą tego okrętu.

Kapitan złożył dokument z największym spokojem.

— Nie wiedziałem wcale o tem pełnomocnictwie — odpowiedział tak obojętnie, jak gdyby to, co przeczytał, nie obchodziło go wcale.—Nie zmienia ono jednak wcale moich

rozporządzeń. Dopóki jestem kapitanem tego statku, tylko ja tu rządę. Natomiast wolno panu na podstawie tego papieru żądać, bym zatrzymał się w tym lub owym porcie, wolno panu żądać, abym zabrał na pokład te lub owe towary. Nic więcej.

— Więc upierasz się pan przy swym niedorzecznym rozkazie?—spytał Mac Dougal.

— Nie mogę czynić dla nikogo wyjątków. Przepis jest przepisem dla wszystkich.

— Ja zaś powtarzam, że ten przepis w zastosowaniu do nas jest niedorzecznością, jest dziecięcym uporem i dlatego ani myślę być mu posłusznym.

— Zawiniśz pan przez to przeciw karności okrętowej, co, jak wiesz, może pociągnąć za sobą karę.

— Pan grozisz mi karą? Nie; to już do prawdy śmieszne. Czy pan sądzisz, że pozwoliłbym na to?

— Tak sądzę. I jeżeli będziesz pan trwał w uporze, przekonam pana o tem.

— Dość już tej częściej gadaniny—krzyknął z oburzeniem Mac Dougal.—Wracajmy do kajuty, panowie. Światło będzie się dalej świecić. Przekonamy się, czy pan kapitan ośmieli się je sam zgasić.

— W takim razie nie pozostanie mi nic

innego, jak wydać rozkaz, by zakuto pana w kajdany—oświadczył kapitan.

Mac Dougal z wściekłością skoczył ku niemu. Towarzysze powstrzymali jednak porywczego dowódcę wyprawy i poczęli łagodzić spór. Lecz kapitan niewzruszenie upierał się przy swem postanowieniu. Mac Dougal nie był również skłonny do ustępstw.

Położenie wydało się bez wyjścia.

Wreszcie jednak Dawid Stuart nakłonił obu przeciwników, by rozstrzygnięcie sporu odłożyli do dnia następnego. Na razie wspólnicy Astora zgodzili się zgasić światło i udać się na spoczynek.

VI.

Figle upartego kapitana.

Wspólnicy Jana Jakuba Astora zgasili światło. Mimo to długo jeszcze pozostali razem w kajucie; nazbyt podrażnione były ich umysły, by mogli rychło zasnąć. Omawiali wypadki, omawiali przyszłość, odczuwając równocześnie coraz silniejsze kołysanie się okrętu. Słyszeli coraz silniejsze głosy świstawki, którą kapitan wydawał załodze rozkazy, coraz żywszy ruch na pokładzie.

Nie widzieli tylko, jak niebo zaciągnęło się chmurami, nie widzieli, jak rozszalał wichher, niosąc z sobą groźną burzę.

Gdy brzask rozjaśnił niebo, powierzchnia morza zmieniła całkiem swój wygląd. Olbrzymie fale przelewały się ustawicznie poprzez burty statku; drobny deszcz mżył bez przerwy,

z żagli, z rej i masztów spływały ciągle duże krople wody.

Kapitan wypoczął tylko przez godzinę w swojej kajucie i z brzaskiem dnia znajdował się już na stanowisku.

— Kochany panie Howells — odezwał się do oficera — na razie nie grozi nam niebezpieczeństwo. Skorzystaj pan z tej chwili i zajrzyj, co się dzieje z naszymi podróżnymi. Nie wątpię, że rozchorują się wszyscy, bo tylko prawdziwy wilk morski zdoła się teraz oprzeć chorobie morskiej. Ale może łatwiej zniosą te dolegliwości, oddychając świeżem powietrzem tu na pokładzie, aniżeli zamknięci w ciasnej kajucie!

Kapitan miał w rzeczywistości bardzo dobre serce; mimo zatargów i waśni z lądowymi szczurami myślał jednak o ich zdrowiu i o tem, by ulżyć ich doli. W chwilę później oficer wyprowadził kanadyjczyków na pokład statku. Wszyscy byli niezwykle bladzi, ledwie trzymali się na nogach, choroba morska wyrzyła piętno na ich twarzach. Zarówno oficer jak załoga musieli im długo tłumaczyć, że lepiej przebywać tutaj, niż w dusznej kajucie. Mimo wszystko jednak ciągle ten i ów usiłował się wymknąć ku schodom, wiodącym w głąb statku.

I pomocnicy handlowi musieli złożyć

morzu ofiarę. Wyprowadzono ich również na pokład i pozwolono im ułożyć się tam, gdzie chcieli.

Niedługo później pojawili się także kierownicy wyprawy. Teraz nie stawiali już oporu, nie gniewali się o nic; przeciwnie okazali wdzięczność za udzieloną im pomoc, z zadowoleniem ułożyli się w rozwieszonych hamakach.

— Lecz co robić z panem Mac Dougalem? — zapytał wreszcie oficer. — Śpi głęboko i spokojnie; burza morską nie wywarła na niego wcale wpływu. Czy go obudzić?

— Czekajmy — odpowiedział kapitan — i miejmy nadzieję, że ocean przyjdzie nam z pomocą. Niebawem zobaczymy.

Mac Dougal obudził się dość późno. Nie zapomniał jeszcze o niedawnej sprzeczce z kapitanem. Ale w tej chwili nie myślał o niej. Uwagę jego zajęły gwałtowne poruszenia statku, poszum i huk burzy, trzeszczenie lin i zgrzyt żelaza. Przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Potem zerwał się z łóżka, ubrał się szybko i pośpieszył do towarzyszy.

Nie zastał żadnego z nich w kajucie. Wydawało się wogóle, że na dole statku nie ma ani żywej duszy. Opierając się o ściany, drapał się powoli na pokład. Smutny widok przedstawił się jego oczom. Niebo było po-

kryte czarnymi, groźnymi chmurami; wicher targał żaglami statku; załoga biegała pośpiesznie we wszystkie strony, wypełniając rozkazy kapitana, który, owinięty nieprzemakalnym płaszczem, stał jak posąg na mostku kapitańskim.

Cały górny pokład był zapełniony leżącymi. W jednym kącie skupiali się kanadyjczycy, osowiali, smutni, wyczerpani morską chorobą; nieco dalej jęczeli pomocnicy handlowi; honorowe niejako miejsca zajęli wspólnicy Mac Dougala i Astora. I oni byli nawpół przytomni, nie objawiali bynajmniej ochoty do rozmowy.

To też Mac Dougal, obszedłszy ich kolejno, wolał cofnąć się szybko i patrzeć na pracę marynarzy, aniżeli na cierpienia swych towarzyszy.

A marynarze poruszali się coraz zwiniej i żywiej. Wiatr zmienił się znowu i tak silnie wydymał żagle, że cały statek pochylił się na bok. Z mostku kapitańskiego zabrzmiała świstawka, rozległ się krótki rozkaz, w tej samej prawie chwili kilku marynarzy drapało się już po maszcie.

Mac Dougal ze zdziwieniem i z podziwem spoglądał na ich pracę. Niby sztukmistrze cyrkowi zawiśli na rejach, usiłując odwiązać sznury i opuścić żagle. Jeden jedyny

niebaczny ruch groził im śmiercią i zgubą. Ale nie zwracali na to wcale uwagi. Po chwili reje poczęły się osuwać na dół, w ślad za nimi opuszczali się i marynarze. Statek, chyłący się dotąd ciągle na bok, wyprostował się teraz po opadnięciu żagli i płynął już spokojniej, aczkolwiek nie ustawał kołysać się na falach.

Mac Dougal niejednokrotnie zaglądał sam śmierci w oczy; z tym większym więc zachwytem przyglądał się dzielności marynarzy, z tym większym podziwem patrzył na kapitana, który nie drgnął nawet przez chwilę na swem stanowisku.

Z tego też powodu zacierało się powoli w jego umyśle wspomnienie wieczornej kłótni; w obec coraz groźniejszej burzy począł rozumieć, że karność i posłuszeństwo rozkazom kapitana są niezbędne.

Ale przebywanie na pokładzie nie było bynajmniej przyjemnością. Deszcz padał bez przerwy; kiedy niekiedy olbrzymie fale przelewały się przez pokład i trzeba było silnie trzymać się na nogach, by stawić im opór. Mac Dougal doszedł więc ostrożnie ku schodom i powrócił do kajuty. Zaledwie jednak położył się na kanapie, uczuł, że i on poczyna ulegać chorobie morskiej. Wyteżył siły, aby

zwalczyć pierwsze jej objawy i rzeczywiście udało mu się to poniekąd.

Niebawem wszedł do kajuty oficer Howells, donosząc, że kapitan gotów jest obecnie dokończyć wczorajszej rozmowy.

Oficer zauważył stan, w jakim się znajdował Mac Dougal i dlatego powiedział te słowa z pewną złośliwością.

Lecz Mac Dougal nie chciał pozwolić, by kapitan tryumfował nad nim. Powstał i nie bez trudu udał się do kajuty kapitana. Usiadł na wskazanem sobie miejscu, ale w tej samej niemal chwili uległ atakowi morskiej choroby.

— Nie ma rady—odezwał się kapitan ze złośliwym uśmiechem.—Musimy odłożyć naszą naradę. Panie Howells odprowadź pana pana Mac Dougala i postaraj się ulżyć mu w cierpieniach.

W ten sposób zakończyły się na razie właśnie i nieporozumienia. Szczury lądowe chorowały przez kilka dni, a podczas tego nie myślały bynajmniej o tem, aby stawiać opór rozporządzeniom kapitana. Na okręcie panował zupełny spokój i cisza.

Ale dalsze starcia w przyszłości były nieuniknione. Czterej wspólnicy Jana Jakuba Astora byli od wczesnej młodości przyzwyczajeni do swobodnego i niczem nie skrepo-

wanego trybu życia. Długie lata spędzili wśród puszczy, narażając się odważnie na wszelakie niebezpieczeństwa i trudy. Zupełna wolność postępowania stała się drugą ich naturą, a teraz uparty kapitan usiłował narzucić im więzy wojskowej karności. Może nawet uznawali w głębi ducha, że kapitan ma jaknajlepsze zamiary, ale nie mogli się pogodzić z myślą bezwzględnego posłuszeństwa.

Tymczasem statek dotarł do wysp Falklandzkich, a kapitan postanowił zawinąć do portu Egmont, aby naprawić drobne uszkodzenia i zaopatrzyć się w świeżą wodę do picia.

Widok lądu stałego i wiadomość, że okręt przez kilka dni zatrzyma się w porcie, wywołał niedającą się opisać radość wśród podróżnych. Wszyscy przywdziali myśliwskie stroje, wydobyli strzelby i kordelasy i z niecierpliwością oczekiwali chwili wylądowania.

Kapitan niezbyt chętnem okiem patrzył na te przygotowania, ale nie zamierzał im przeszkadzać.

— Rozumiem dobrze — odezwał się do czterech współników Astora — że kilkodniowy pobyt na lądzie będzie dla panów nader miłym urozmaiceniem podróży. Na jedno tylko pragnę panom zwrócić uwagę. Czekają nas jeszcze bardzo daleka droga, nie możemy

więc dobrowolnie się opóźniać. Dopóki nie ukończymy naprawiania statku i nie zaopatrzymy się w wodę, wolno panom robić, co się wam żywnie podoba. Ale skoro zabrzmi sygnał armatni, musicie panowie natychmiast powrócić na pokład. Ostrzegam, że pod żadnym warunkiem nie będę czekał na tych, którzy się spóźnią. A teraz życzę panom wesołej zabawy.

Wszyscy cisnęli się do łodzi, aby jaknajprędzej znaleźć się na lądzie. Kanadyjczycy zabrali namioty, kotły i łąki, postanawiając przez te kilka dni wieść czysto myśliwski żywot.

Niebawem odezwały się z wybrzeży wesołe pieśni, z niedalekich lasów niesło echo odgłosy licznych wystrzałów, zapłonęły ogniska, skwierczały na rożnach smaczne pieczenie.

Przez trzy dni oglądał kapitan swych podróżnych tylko z daleka przez lunetę; żaden z nich nie pokazywał się na okręcie. Czwartego dnia młody Stuart przywiózł pełną łódź upolowanej zwierzyny, a kapitan serdecznie i szczerze podziękował mu za to, ponieważ spiżarnie okrętowe były już dosyć puste. Równocześnie jednak oznajmił, że praca dobiega już końca i że okręt niebawem wyruszy w dalszą drogę.

Następnego dnia w południe huknął wystrzał armatni, marynarze poczęli naciągać żagle i gotować się do podniesienia kotwicy. Na znak ten kanadyjczycy zwinęli szybko namioty i pośpieszyli do oczekujących łodzi, za ich przykładem poszli również pomocnicy handlowi.

Mac Dougal, Dawid Stuart i Mac Kay ścigali właśnie zwierzynę, gdy zabrzmiał sygnał armatni. Krew myśliwska nazbyt grała w ich żyłach, by mogli zaniechać pościgu. To też dopiero wtedy, gdy jelen, rażony celnym strzałem, powalił się na ziemię i gdy wycięli najsmaczniejsze kaski pieczeni, ruszyli w powrotną drogę.

Nagle jednak spostrzegli z przerażeniem, że „Tonquin“, podniósłszy kotwicę, płynie naprzód pełnemi żaglami. Wsiedli szybko do łodzi i, wiosłując co sił, próbowali doścignąć statek.

— Biada temu łajdakowi — zakrzyknął Mac Dougal—gdyby ośmielił się nas zostawić tutaj.

— Jesteśmy bezsilni — odparł Stuart — cała nasza nadzieja w pośpiechu. Nie pomogą nam groźby i gniewy.

Ale chociaż nie oszczędzili wysiłku, odległość między łodzią i statkiem powiększała się ciągle.

Dotychczas jeszcze odróżni na statku spo-

glądali wesołym okiem na niezwykle wyścig; przypuszczali, że kapitan pragnie ukarać opóźniających się i nastraszyć ich w ten sposób. Ale teraz pojęli, że ani nie myśli czekać, że nie żartuje wcale. Pomruki niezadowolenia ozwały się do koła.

Młody Robert Stuart podbiegł do pomostru kapitana.

— Cóż to znaczy kapitanie?—zawołał. — Może już dosyć tej igraszki? Widzisz pan przecież, że towarzysze moi upadają ze znużenia. A zamiast zatrzymać statek, polecieś pan rozwinać nowe żagle.

— Czyś pan oszalał? — krzyknął kapitan.—Przedewszystkiem nie są to wcale igraszki, powtóre wiatr jest tak pomyślny, że byłoby głupotą nie wykorzystać go, wreszcie panowie ci mogą pozostać tutaj, skoro nie raczyli uwzględnić moich rozkazów. Skończyłem!

— Ależ zastanów się pan, co robisz?

— Zastanowiłem się już i nie myślę zmieniać moich postanowień.

Robert Stuart oniemiał na chwilę. Ale zrozumiał, że musi działać natychmiast i nieustraszenie. Kapitan, zaślepiony swym uporem, postępował jak szaleniec.

W tej samej niemal chwili młody chło-

pak wskoczył na pomost i wznosząc groźnie w górę pistolet, zakrzyknął:

— Albo każesz pan natychmiast zatrzymać statek, albo łeb ci roztrzaskam!

Jonatan Thorn zbladł jak ściana. Odwaga młodego chłopca przejęła go podziwem, a równocześnie musiał jednak przyznać w głębi duszy, że wrodzony mu upór zaprowadził go do niemożliwych granic.

Nastąpiła chwila kłopotliwego i dręczącego milczenia. Kapitan wstydził się odwoływać wydane rozkazy; młody chłopiec był przygotowany na wszystko.

W tem krytycznem położeniu przyroda sama przyszła z pomocą i jednemu i drugiemu. Wiatr ustał nagle, żagle opadły, okręt poruszał się coraz powolniej. Teraz łódź mogła już niebawem dogonić statek.

Obaj spierający się stali jeszcze naprzeciwko siebie na pomoście.

Nagle Robert Stuart opuścił wyciągniętą rękę, w której trzymał pistolet, i odezwał się łagodnym głosem:

— Przebacz mi, kapitanie, moje uniesienie. Ale nie mogłem inaczej postąpić.

— Jeszcze pogadamy o tem, młody panie—burknął kapitan ze złością.

Lecz w tej samej chwili szepnął cicho do siebie;

— Dalibóg! Dzielny chłopak! Szkoda, że nie został marynarzem!

Albowiem kapitan tylko stan marynarski wysoko cenił.

Tymczasem łódź doścignęła statek. Mac Dougal chciał wybuchnąć gniewem i rozpocząć spór z kapitanem. Ale Robert Stuart odprowadził go na bok i opowiedział wszystko, co zaszło. Kapitan został już dostatecznie upokorzony i ukarany za swój upór.

VII.

Dwór króla Tamaahmaah.

Zarówno kapitan jak i podróżni nie wspomnieli już ani słowem o przykrem zajściu. Pogoda i wiatr sprzyjały; po ominięciu przylądka Horn, statek popłynął szybko po-przez fale Cichego Oceanu.

W dwa miesiące po opuszczeniu wysp Falklandzkich statek zbliżał się ku wyspom Sandwich. Zapasy żywności były na wyczerpaniu, należało je uzupełnić; przytem Jan Jakub Astor polecił wyraźnie zatrzymać się tutaj i nawiązać z tubylcami stosunki. Pomyślowy handlarz pragnął tu znaleźć stały punkt oparcia i zamyślał nawet nabyć w przyszłości jedną z wysepek, aby utworzyć rodzaj stacyi po drodze do Kolumbii.

• Mac Dougal nakazał wszystkim swoim

podwładnym, by przywdziali uroczyste, kolorowe stroje; chciał zaimponować tym przepychem królikowi wysp, mającemu niezwykle nazwisko Tamaahmaah. Pomocnicy handlowi wyciągnęli więc ze skrzyń wspaniałe, czerwone płaszcze i kapelusze lamowane złotem; przywdziali je i w tem ubraniu przechadzali się dumnie po pokładzie.

To znowu nie bardzo podobało się kapitanowi. Stary, dzielny żołnierz wymuszał zawsze poszanowanie dla siebie i dla swego statku armatami, a nie kolorowemi szmatkami.

— Spójrzysz pan—odezwał się do oficera Howellsa—jak dziecinni są ci wszyscy ludzie. Radują się tą maskaradą, zamiast się wstydzić tego, co czynią. Najchętniej nie puściłbym ich wcale na ląd, bo przecież ośmieszają nie tylko siebie, ale i nas także.

Kapitan przemyślał długo nad tem, jakby zapobiedz wylądowaniu. Ale musiał zopatrzyć się w żywność, a przytem rozkazy Astora były pod tym względem jasne i szczegółowe. Nie było zatem rady.

Mimo to jednak zdołał wylądować swą złość innym sposobem. Gdy tak przechadzał się po pokładzie, zbliżył się ku niemu Mac Dougal w towarzystwie młodego Stuarta i poprosił o wydanie kilku skrzyń z szklanami

perłami, starami muszkietami i innymi drobiazgami, pomieszczonych w magazynach okrętowych. Mac Dougal chciał królowi Tamaahmaah złożyć bogate podarunki, aby usposobić go przychylnie dla wyprawy i jej zamiarów.

Kapitan oparł się stanowczo temu żądaniu, oświadczając, że zgodnie z poleceniem pana Astora wyładuje wszystkie towary u ujścia rzeki Kolumbii, lecz przedtem nie pozwoli ruszyć ani jednej paczki.

— Czyż pan Astor mógł myśleć o wszystkich drobiazgach — oświadczył z oburzeniem Mac Dougal. — Czyż zresztą nie jesteśmy jego współnikami w tem przedsięwzięciu, współnikami, mającymi prawo rozporządzania majątkiem wyprawy?

— Zapewne — odparł kapitan, zacinając się znowu w uporze — to też oddam wszystko do rozporządzenia panów, ale dopiero wtedy, gdy staniemy u celu.

Daremne były wszystkie tłumaczenia i prośby. Kapitan uparł się, chcąc dokuczyć w ten sposób swoim podróżnym, a na upór ten nie było rady. Wspólnicy pocieszali się tem, że bliżej już niż dalej do celu i że niebawem będą mogli postępować wedle własnej woli. Tymczasem ustąpili, nie chcąc zastrzacać sporu.

Następnego dnia „Tonquin“ zawinął do zatoki Kealakeakua. Natychmiast otoczyły go liczne łodzie tubylców, zwożąc na żądanie kapitana ogromne zapasy środków żywności. Okazało się jednak, że król Tamaahmaah przebywa na innej wyspie swego królestwa, skutkiem czego podróżni musieli zdjąć z powrotem uroczyste stroje, ku wielkiemu zadowoleniu kapitana.

Ale zadowolenie było krótkotrwałe, bo w dwa dni później „Tonquin“ zarzucił kotwicę w rezydencji królewskiej, a podróżni przywdziali jeszcze barwniejsze stroje.

Władca, dowiedziawszy się o przybyciu białych, sam pośpieszył na ich spotkanie. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, otyły, ubrany w stary, przyciasny nieco mundur angielski, z ogromną szablą przy boku. Aczkolwiek królewski ten majestat nie imponował wcale kapitanowi Thornowi, zgodził się jednak wywiesić sztandar Stanów Zjednoczonych i wystrzelić salwy powitalne.

Mac Dougal wprowadził uroczyste króla na statek i zasadził go przy bogato zastawionym stole.

Cierpliwość kapitana była znowu wystawiona na ciężką próbę, kiedy słuchał wygłoszonych przemów.

Mac Dougal usiłował przekonać dzikiego

władcę o swem własnem dostojęństwie, opowiadał mu wiele o potędzie Jana Jakuba Astora i o znaczeniu przedsięwziętego wspólnie dzieła, wykazywał korzyści, jakie sam Tamaahmaah może dzięki temu uzyskać.

Jego Królewska Mość odpowiedział, że najchętniej pragnie nawiązać stosunki handlowe z białymi, że mile powita w swym państwie białych osadników, byleby naprawdę zajmowali się uczciwą pracą, a nie byli zwykłymi awanturnikami; wreszcie zaś zaprosił załogę i podróżnych do swej rezydencji.

Biali odwiedzili go dnia następnego. Od wybrzeża ruszył ku pałacowi królewskiemu pochód różnobarwnych płaszczów, któremu tubylecy przyglądali się z szeroko rozwartemi ustami. Prawdopodobnie nigdy jeszcze nie widzieli nic podobnego.

Nawiązano tu jeszcze ściślejsze stosunki przyjaźni, oraz postanowiono zabrać około trzydziestu tubylców do przyszłej osady.

Kapitan Thorn nie brał udziału w tych uroczystościach, natomiast targował się z królem o zakupno wieprzów, kóz, owiec i ptactwa domowego, przyczem okazało się, że ugrzecznony władca nauczył się już wiele od swych białych braci, a przedewszystkiem nauczył się chytrości i skąpstwa. To też kupione przez kapitana zwierzęta były bardzo dro-

gie, a w dodatku trzeba było zapłacić za nie dobrami talarami hiszpańskimi, na wartości których Jego Królewska Mość znał się doskonale.

Ale dzięki temu właśnie kapitan Thorn, choć mrucał z niezadowolenia, nabrał o dzi-
kim władcy lepszego przekonania.

VIII.

Przy ujściu Kolumbii.

Nareszcie w końcu marca, a więc mniejszą po sześciomiesięcznej podróży, „Tonquin“ dotarł do ujścia rzeki Kolumbii.

Ujście to zamykały podówczas podwodne skały, skutkiem czego fale morskie piętrzyły się do olbrzymiej wysokości i utrudniały wylądowanie.

Przez kilka dni statek krążył w pobliżu, oczekując na pomyślniejszą chwilę. Próba dotarcia do wybrzeża przy pomocy łodzi zakończyła się tragicznie; sternik i siedmiu marynarzy znalazło śmierć w spienionych nurtach.

Dopiero mieszkający w pobliżu indyanie wskazali statkowi drogę; kapitan Thorn śmiało, lecz ostrożnie przeprowadził statek poza podwodne skały.

Zarzucono kotwicę, podróżni wysiedli na ląd i poczęli szukać najbardziej odpowiedniego miejsca, gdzieby można było zbudować osadę.

Aczkolwiek uparty kapitan twierdził, że osada winna znajdować się tuż nad brzegiem morza, nie liczone się już teraz z jego zdaniem.

Mac Dougal i towarzysze długo nie mogli powziąć ostatecznego postanowienia; jeździli w tę i ową stronę, dokonywali pomiarów głębokości wybrzeża, zastanawiali się nad rozmieszczeniem budynków i nad możliwością obrony.

Podczas tych wycieczek spotykali niejednokrotnie indyan, łowiących ryby i od nich dowiedzieli się, że niedaleko znajdują się osady czerwonoskórych, których wodzem jest głośny wojownik, Comcomly. Osadnikom naszym nazbyt zależało na utrzymaniu dobrych stosunków z sąsiadami. Więc też niebawem Mac Dougal i Dawid Stuart wybrali się do czerwonoskórego wodza w odwiedzinę.

Comcomly przyjął ich bardzo serdecznie, aczkolwiek na razie nie wiedział jeszcze dobrze, jaką korzyść wyciągnąć może z sąsiedztwa białych osadników.

Mac Dougal odegrał znowu rolę wielkiego, potężnego wodza; przyrzekał czerwono-

skórym rozliczne korzyści; wyraził gotowość zakupu wszystkich skór, jakiego posiadali. W ciągu rozmowy dowiedział się, że w pobliżu wybrzeża osiadły trzy szczepy, prócz Czinkuków, których wodzem był Comcomly, a mianowicie Czacopsowie, Wahkiakumowie i Czatlamahowie. Ponieważ obyczaje ich, strój i język były bardzo do siebie zbliżone, należało przypuszczać, że wszyscy byli synami jednego plemienia, które z biegiem czasu rozdzieliło się na trzy hordy.

Indyanie ci zajmowali się głównie połowem ryb, a jako wiosłarze nie mieli niemal równych sobie. Na wątych swych łódkach puszczali się śmiało przez najgwałtowniejsze prądy, nie bacząc na pogodę.

Dwaj przywódcy wyprawy rozmawiali przez parę godzin z czerwonoskórym wodzem.

Ponieważ noc już zapadła, zgodzili się zostać do rana w jego wigwamie. Wypali się doskonale, tem bardziej, że nie dręczyła ich już myśl o karności wojskowej, zaprowadzonej przez kapitana Thorna.

Nazajutrz postanowili wyruszyć z powrotem.

Tymczasem jednak zmienił się kierunek wiatru, zaczął padać deszcz ulewny; fale rzeki wznosiły się wysoko w górę.

Aczkolwiek od „Tonquina“ dzieliło ich

zaledwie jedenaście mil, podróż nie zapowiadała się wesoło.

Jednooki wódz indyan, Comcomly, zwrócił na to także uwagę:

— Moi biali bracia — rzekł — nie znają jeszcze podstępów tej rzeki. I napewno uczyniliby lepiej, gdyby jeszcze przez dzień lub dwa pozostali w moim wigwamie, czekając, póki fale się nie uspokoją.

— Dziękujemy naszemu czerwonemu bratu za jego radę — odpowiedział Mac Dougal. — Wierzymy, że tylko nasze dobro ma na oku. Ale spieszo nam w drogę i pragniemy jak najrychlej połączyć się z naszymi przyjaciółmi. A umiemy też poradzić sobie z siłą wody, nie boimy się wzburzonej fali.

Comcomly nie sprzeciwiał się woli swych gości.

Mac Dougal i Dawid Stuart rozstali się z nim serdecznie, uścisnęli dłonie starszyźnie czerwonoskórych, która doprowadziła ich na brzeg rzeki, a potem wsiedli do łodzi i chwycili za wiosła.

Przez parę minut jechali spokojnie naprzód, potem prąd wody począł ich ponosić, mimo wszelkich wysiłków. Zrazu jeden zrzucał na drugiego winę, niebawem zauważyli jednak, że wiry są silniejsze od nich obu i że

grozi im zagłada, jeżeli pozwolą się ponieść fali.

— Dalibóg!— odezwał się Mac Dougal— nasz jednooki przyjaciel radził nam zupełnie szczerze, prosząc, byśmy pozostali u niego, dopóki burza nie przeminie. Kto wie, jakie niespodzianki zgotuje nam jeszcze ta dyabelska rzeka.

— Niestety, teraz nie możemy już zawrócić. Ośmieszylibyśmy się, co się zowie, przeląkłszy się prądu. A może i lepiej nawet, że ci czerwonoskórcy przekonają się o naszej odwadze.

Poruszyli silnie wiosłami i posunęli się znowu naprzód. Szczęśliwie wyminęli wir jeden i drugi. Tymczasem jednak zmieniał się wygląd rzeki. Fale wznosiły się coraz wyżej i wyżej; olbrzymie grzebienie piany zagrażały drogę.

— Zdaje mi się—rzekł Mac Dougal— że dostaliśmy się z deszczu pod rynnę. Możnaby sądzić, że siedliśmy na huśtawce, bo zaczynamy wylatywać w górę i spadać z powrotem.

— Tak, nie jest to zupełnie przyjemne— odparł Dawid Stuart.—Co gorzej zaś, nie widać wcale końca tej rozrywki. Czem dalej, tem gorzej. Przedewszystkiem musimy uważać, by przód łodzi kierować na fale, inaczej

bowiem łódź przewróci się i nakryje nas swym ciężarem.

W chwilę później stało się to, co przewidywał Stuart. Obaj pogrążyli się w falach wody.

Dawid Stuart pierwszy wypłynął na powierzchnię i z niepokojem rozejrzał się dookoła, wiedząc, że towarzysz jego nie umie wcale pływać. Na szczęście Mac Dougal uchwycił się kraju łodzi i dzięki temu ocalił życie.

— Na Boga!—krzyknął Stuart.—Nie dotykaj mnie, bo zginiemy obaj!

Mac Dougal posłuchał i kurczowo tylko trzymał się brzegu łodzi. Dawid Stuart zbiżył się ku niemu i również uczepił się desek.

Przez czas pewien posuwali się dość spokojnie naprzód z prądem rzeki. Lecz niebawem rozpoczęły się nowe cierpienia. Fala podniosła ich wysoko w górę, a potem cisnęła w dół z kilkometrowej wysokości.

— Bardze miła rozrywka—mruknął Mac Dougal.—Możemy sobie wyobrazić, że lecimy do nieba i nagle spadamy do piekieł. Szkoda tylko, że woda jest tak mokra i zimna.

Dawid Stuart nie odpowiedział wcale. Cieszył się, że towarzysz nie traci jeszcze fantazyi i humoru, a równocześnie obmyslał

sposoby ratunku. Lodowata woda mroziła mu coraz bardziej członki. Aby rozgrzać się nieco, zaczął poruszać szybko nogami, nie wypuszczając jednak z rąk ławki, będącej jego podporą. Istotnie krew poczęła nieco szybciej krążyć mu w żyłach. Poradził Mac Dougalowi, aby uczynił tak samo.

— Łatwo to mówić — odpowiedział tenże. — Niestety, nogi ciężą mi, jak dwa kawały ołowiu, mimo najlepszych chęci nie mogę nimi poruszyć. I jeżeli nasza podróż potrwa jeszcze czas dłuższy, to nie wiem doprawdy, czy będę jednym z założycieli naszej kolonii.

Fala cisnęła ich znowu wysoko w górę, a potem zrzuciła w wodne przepaście; Mac Dougal ujrzał obok siebie jakieś czarne cienie i stracił przytomność.

Dawid Stuart patrzył przed siebie; widział zbliżające się ku nim wątle czółno indyjskie, widział młodą indyankę, która skoczyła w fale i chwyciła w pól jego tonącego towarzysza, uczuł, że jego samego podnosi w górę jakaś silna ręka. Ale nie wiedział, czy śni tylko, czy też widzi to na prawdę. Bo i on także stracił niebawem przytomność.

Po upływie pół godziny dopiero odzyskali obaj zmysły. Jakże zdumieli się, ujrawszy obok siebie kilkunastu czerwonoskórych,

rozcierających ich szorstkimi chustami. Nieco dalej stał wódz Comcomly, spoglądając na nich swem okiem, napół radośnie, napół złośliwie.

Czerwonoskórcy rozpalili na brzegu ognisko, zciągnęli z nich ubranie i suszyli je właśnie nad ogniem; dowódca podał im w glinianem naczyniu trochę rozgrzewającego trunku.

— Uratowałeś nam życie, mój bracie — rzekł Mac Dougal — nie zapomnimy o tem nigdy. Wcześniej czy później znajdziemy sposobność, by odplacić ci to sowicie.

Jednooki dowódca skinął lekceważąco ręką.

— Nie warto mówić o tem — rzekł — nie warto dziękować. Comcomly wiedział, że jego biali przyjaciele nie zdołają pokonać wrogich wód i dlatego pośpieszył im z pomocą.

— A więc zawdzięczamy ocalenie obmyślanemu planowi, a nie przypadkowi? — pytali wędrowcy.

— Comcomly nie wie wcale, co to przypadek. Wykonuje zawsze to, co zamierzy. Gdyby biali bracia pozostali w jego wigwamie do czasu, aż uspokoją się wodne góry, byłiby uniknęli niemiłej kąpieli. Nie chcieli jednak posłuchać jego rady i wyruszyli w drogę. Aby ocalić ich przed grożącym nieszczęściem,

Comcomly pośpieszył za nimi. I przybył właśnie w sam czas.

Osuszywscy nieco ubrania, biali wędrowcy udali się do niedalekiej wioski Czinuków, którą dopiero niedawno opuścili. Podczas drogi dowiedział się Mac Dugal, że ocalenie swoje zawdzięcza odwadze córki Comcomlego, która rzuciła się w fale, odczepiła go nieprzytomnego od ławki i przeciągnęła do łodzi ratunkowej.



93359/1